MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 22 WARSZAWA, 26 MAJA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

KOŚCIÓŁ I PAŃSTWO

WIELKA mowa Mussoliniego, wygłoszona dnia 14 maja r. b. w Izbie włoskiej, w czasie rozprawy nad ratyfikacją traktatu Laterańskiego, jest niewątpliwie mową historyczną. Jest nią w podwójnem znaczeniu: jest cała przeniknięta poczuciem historycznem, jest pięknym, wzorowym przykładem dziejopisarstwa; jest zarazem aktem historycznym, jednym z tych, których następstwa dają się odczuwać przez dziesiątki i setki lat.

Mussolini wykazał z dokumentami w ręku, że dojście do skutku traktatu Laterańskiego jest koniecznym wynikiem historycznego rozwoju stosunków między Włochami a Watykanem, że nie jest niczyją improwizacją, że nietylko jest podyktowanem przez logikę dziejów zamknięciem okresu, który się rozpoczął w r. 1870, lecz koniecznem zjawiskiem w rozwoju nowoczesnej Europy.

Mógłby był z równą ścisłością wykazać ciągłość dziejów cywilizacji zachodniej, mógłby był ustalić, że zawarcie traktatu Laterańskiego wywołuje na porządek dzienny zagadnienie, które było zagadnieniem centralnem Średniowiecza — stosunku między władzą duchową, a władzą świecką. Wiemy wszyscy, że walka między Papiestwem a Cesarstwem wypełniła kilka wieków historji Europy zachodniej, nie wszyscy wszakże zdajemy sobie sprawę z tego, jak wielką doniosłość posiadał przedmiot tej walki, jak żywotną dla ludzkości jest sprawa, o którą chodziło w tym sporze.

Papiestwo i Cesarstwo były istotnemi, czynnemi i żywotnemi siłami, kształtującemi życie państw i jednostek w okresie Średniowiecza. Były takiemi dlatego, że idee, które reprezentowały te dwa czynniki, były pełne życia i znaczenia dla ludzi owoczesnych, dla ludzi szczerej i głebokiej wiary oraz silnych instynktów, pragnień i dążeń.

Odrodzenie i Reformacja nietylko osłabiły wiarę w sercach, lecz rozbiły jedność Kościoła. Prądy duchowe Odrodzenia podnosiły znaczenie jednostki i obdarzały ją wolnością. Reformacja była triumfem jednostki w dziedzinie wiary, przenosiła kryterja prawdy i moralności zzewnątrz na wewnątrz jednostki, prowadziła do rozbicia jedności Kościoła, niosła zarodki, z których musiały się rozwinąć prądy ideowe wieku XVIII, Rewolucja francuska i materjalizm wieku XIX.

Państwa protestanckie wyemancypowały się zupełnie z pod wpływów Rzymu, a w państwach katolickich dążono coraz bardziej wyraźnie i stanowczo do ograniczenia wpływów Kościoła, idąc ku zupełnemu rozdziałowi między państwem a Kościołem.

Jest rzeczą jasną, że w tych warunkach zagadnienie stosunku między Kościołem a państwem, w jego dawnej, średniowiecznej postaci, gdy konflikty i walki miały jednak na celu dojście do współżycia w harmonji, musiało zejść całkowicie z porządku dziennego. Państwa nie uznawały Kościoła, lub uważały go za niedogodnego intruza. W sercach mieszkańców Europy Zachodniej gasły uczucia religijne, sprawa wiary przestawała być sprawą ważną.

Wiek XIX był nietylko wiekiem panowania ducha protestanckiego w Europie: był on także okresem ekspansji i hegemonji narodów i państw protestanckich, ich bowiem właściwości odpowiadały najbardziej duchowi czasu. Wielka wojna (1914 — 1918) była, między innemi, przejawem kryzysu kultury i cywilizacji, która początkiem swym sięga Odrodzenia i Reformacji. Dziś widać już z całą oczywistością, że jednem z następstw tego kryzysu będzie odrodzenie wewnętrzne oraz odbudowa roli światowej narodów i państw katolickich.

„Narody protestanckie [1]) dosięgły już *apogeum* swej wielkiej karjery dziejowej. Po wojnie światowej widzimy już wyraźnie pierwsze oznaki ich zmierzchu. Dla europejskich źródła jego tkwią w przeobrażaniu się gospodarczem świata, prowadzącem industrjalizm europejski do upadku, dla wszystkich, co ważniejsza, w ich stanie wewnętrznym, w osłabieniu ich życia duchowego, rozkładanego przez wybujały materjalizm, z postanowienia dążenia do wygodnego życia i jego uciech ponad wszystkie aspiracje ludzie, w uwiądzie protestantyzmu, toczącego resztki religijnego ducha, wreszcie w dojściu masonerji z jej dążeniami do impasu, co musi oznaczać początek jej upadku. To, co w ubiegającym okresie dawało im przewagę nad narodami katolickiemi i było uważane za niewątpliwą ich wyższość, dziś okazuje się źródłem ich nieuleczalnych niedomagań. Wiek XIX był wiekiem wielkiego ich triumfu: bankructwo tego wieku z jego ideami przewodniemi, z jego naczelnemi dążeniami zapowiada się jako ich bankructwo. Natomiast w narodach katolickich zaczyna się zjawiać nowa wiara w siebie, w swe siły, w swą rolę dziejową, w swe posłannictwo Najsilniejszy wyraz tej przemiany dają w obecnej chwili Włochy".

Weszliśmy w nowy okres dziejów Europy. Przewrót, jaki się dokonywa w sercach i umysłach jednostek oraz w urządzeniach państwowych, społecznych i gospodarczych, może być porównany, jeśli chodzi o jego głębię z tym przewrotem, jaki się dokonał przy przejściu od Średniowiecza do czasów Nowożytnych. Nie będziemy się tu zastanawiali nad tem, czy mają słuszność ci, którzy przewidują, że wchodzimy w okres nowego Średniowiecza, bo nie można wykreślić z dziejów ludów Europy zachodniej tego, co przeżyły przez ostatnich kilka wieków. To wszakże jest niewątpliwe, że po okresie materjalizmu przychodzi okres spirytualizmu, że miejsce obojętności religijnej lub zgoła walki z religją, zajmować zaczyna w sercach pokoleń współczesnych ciepło wiary, a zagadnienia religijne zyskują dawną wagę i barwę.

Tylko na tle odrodzenia religijnego i zrozumienia doniosłości wiary mogło wypłynąć z nową mocą zagadnienie stosunku Kościoła do Państwa. Tylko że to, co było w Średniowieczu zagadnieniem stosunku między Papiestwem a Cesarstwem, dziś jest zagadnieniem stosunku między Papiestwem a poszczególnemi państwami narodowemi. Bo faktem kapitalnym w dziejach Europy nowoczesnej jest zjawienie się narodów i wślad za tem państw narodowych. Tylko bardzo powierzchowny obserwator utożsamiać może państwa europejskie wieku XX z państwami wieku XVIII i dawniejszemi. Narody współczesne dążą do tworzenia państw narodowych; stąd wynika, że zagadnienie stosunku między władzą duchowną a władzą świecką jest dziś o wiele jeszcze bardziej skomplikowane, niż było w wiekach średnich; bo też państwo współczesne, będące wyrazem organizacji i ducha narodu, jest o wiele bardziej skomplikowane, niż było państwo dawnego typu.

Kto chce zrozumieć całą doniosłość traktatu Laterańskiego, ten musi sobie zdawać sprawę, iż jest on czemś większem i obszerniejszem, niż załatwienie przypadkowego poniekąd sporu między Papieżem a Włochami, sporu wynikającego z warunków geograficznych, z tego faktu, że Stolica Piotrowa znajduje się w tem samem miejscu, co stolica Królestwa Włoskiego. Traktat Laterański stał się warunkiem i podstawą do uregulowania stosunków między Kościołem a Państwem narodu katolickiego, który je organizuje na zasadach najbardziej nowożytnych. To też nigdzie indziej trudność ułożenia stosunków wzajemnych nie jest właśnie tak wielka, jak we Włoszech. Inną zgoła treść zawiera wyraz „państwo" we Włoszech faszystowskich (czy jeśli ktoś woli, nacjonalistycznych), inną zaś w państwach dawnego typu lub też w państwach nieskrystalizowanych jeszcze wewnętrznie, których kierownicy nie uświadomiają sobie jeszcze ducha czasów nowych.

Nowoczesne państwo narodowe nie jest bezdusznym aparatem administracyjnym, chce ono być organizmem, posiadającym własnego ducha z wszystkiemi jego atrybutami. Istotę tego państwa tak określił Mussolini w swej mowie z 14 maja:

> „Nie można myśleć o zaprzeczeniu charakteru moralnego państwu faszystowskiemu; wstydziłbym się przemawiać z tej trybuny, gdybym nie czuł, że jestem przedstawicielem siły moralnej i duchowej Państwa.
>
> „Bo czemżeby było Państwo, gdyby nie posiadało własnego ducha, własnej moralności, która jest czynnikiem dającym siłę jego prawom i pozwalającym mu nakazywać posłuch ze strony obywateli? Państwo takie byłoby rzeczą nędzną, wobec której obywatele mieliby prawo do buntu i którąby musieli pogardzać.
>
> „Państwo faszystowskie chce mieć charakter etyczny: jest katolickie, lecz jest jednocześnie faszystowskie, nadewszystko, wyłącznie i istotnie faszystowskie. Katolicyzm je uzupełnia, przyznajemy to otwarcie. lecz nikt nie może pod pozorem filozoficznym czy metafizycznym zmieszać kart wyłożonych na stole. Wszyscy muszą pamiętać o tem, że nie mają do czynienia z Państwem agnostycznem, demo-liberalnem, z rodzajem materaca, na którym ludzie śpią obok siebie lub też kolejno; lecz, że mają do czynienia z Państwem, które jest świadome swej misji i które reprezentuje naród idący naprzód, z państwem, które kształtuje ten naród, nawet pod względem fizycznym. Temu narodowi Państwo musi mówić wielkie słowa, poruszać wobec niego wielkie idee i wielkie problematy, a nie tylko zajmować się zwykłą administracją".

Takie pojęcie o państwie i fakt, że taki właśnie charakter mają w coraz większym stopniu państwa europejskie, sprawiają, że traktat Laterański posiada doniosłość ogólno-światową. Nietylko dlatego, że stwarza nowe warunki polityczne dla Watykanu, a przez to stawia na nowych podstawach jego stosunki ze wszystkiemi państwami, lecz i dlatego, że jest próbą uregulowania stosunków między Kościołem a państwem nowego typu — państwem narodowem. To, co się dziać będzie we Włoszech, musi z konieczności wytwa-

---

[1]) Roman Dmowski: „Kościół, Naród i Państwo", str. 19

rzać precedens, musi oddziaływać na stosunek Kościoła nietylko do innych państw tego samego typu, lecz także na stosunek do nowoczesnych prądów ideowych, przebiegających narody Europy, przedewszystkiem narody katolickie. Nie może bowiem inaczej być traktowany nacjonalizm francuski, czy hiszpański, niż nacjonalizm, który pod nazwą faszyzmu jest twórcą i inspiratorem państwa włoskiego.

Zapewne, jest rzeczą o wiele trudniejszą rozgraniczyć zakres działania i zakres wpływów Kościoła i państwa, jeśli się ma do czynienia z państwem, pretendującem do posiadania własnego ducha i do oddziaływania moralnego na swych obywateli, niż gdy chodzi o państwo dawnego typu, będące li tylko organizacją dla celów administracji. Lecz też wynik i cel zabiegów o ułożenie tych stosunków są zgoła różne; państwo demo-liberalne dążyło do usunięcia wpływów Kościoła, lub do ścisłego ich określenia i ograniczenia, państwo nowoczesne, nawet podejmując spór o kompetencje i zakres działania, ma na widoku dojście do harmonijnego współżycia.

Państwo i polityka są rzeczami ziemskiemi. Lecz i z punktu widzenia ziemskiego wiara jest dobrem najwyższem, a Kościół instytucją to dobro reprezentującą. Dlatego to zagadnienie rozgraniczenia działalności i ułożenia wzajemnych stosunków ma inne zgoła cele i inny charakter, gdy chodzi o nowoczesne państwo narodowe. Jeśli będą ujawniać się trudności i nieporozumienia, to będą one następstwem odrodzenia uczuć religijnych wśród ludów Europy współczesnej, oraz pozytywnego stosunku państw nowoczesnych do Kościoła. Podobnie jak spory między Papiestwem a Cesarstwem w dobie Średniowiecza były możliwe li tylko na tle wysokiego poziomu ducha religijnego i jak ostatecznym ich celem było jednak zawsze osiągnięcie harmonji między władzą duchowną a świecką w świecie chrześcijańskim.

Tylko z punktu widzenia historycznego można zrozumieć i ocenić jedno z najważniejszych zagadnień Europy nowoczesnej, oświetlone z trybuny parlamentu włoskiego przez Mussoliniego. Nie poraz to pierwszy zresztą w dziejach świata padły w Rzymie słowa, które rozlegają się echem w Europie i poza Europą.

STANISŁAW KOZICKI

ZAUFANIE DO RZECZYWISTOŚCI

Tantum habet homo de scientia quantum operetur.
Św. Franciszek z Assyżu.

W ARTYKULE moim pt. „Konjunktura patosu“ (nr. 2-gi z r. b. „Myśli Narodowej“) użyłem wyrażenia, że „duch religijny w najzwięźlejszem i psychologicznem ujęciu to zaufanie do rzeczywistości“. Chciałbym niniejszem nieco szerzej— aczkolwiek znowu tylko w szkicu aż nadto pobieżnym—w tym kierunku wypowiedzieć się.

Przekonany też jestem, że tego rodzaju wypowiedzenia, choćby osobiste, tego rodzaju subjektywne zarysy dróg, na których szukamy wiary, my ludzie pierwszej ćwierci XX wieku, są w wysokim stopniu pożądane, potrzebne, niezbędne.

Musimy organizować naszą myśl polityczną w świetle tego pytania: Czy, w razie wypuszczenia mas na ulicę przeciwko Państwu Polskiemu, przeciwko Białemu Orłowi i przeciwko Krzyżowi — czy znajdą się wtedy kontr-masy, dostateczne ilości ludzi, którzy będą mieli ochotę za Krzyż i Orła Białego oddawać głowy? Bez przekonania świętego w masach, w nas samych o wartości naszej kultury, wartości *quand même*, mimo wszystkich tej kultury niedomagań, niedorostów, nieurzeczywistnień — bez tego przekonania przesiąkłego do krwi naszej — na nic się nie zdają wszelkie starania i zabiegi policyjne i wogóle urzędowe.

Ażeby zaś wiara religijna stała się naprawdę czemś energobodźczem, żywem, cennem — musi ożywić się myśl religijna. Bez niej, bez starań zrozumienia zagadnień wiary, wszelkie nauki religijne, kult i kultura religijne, będą schły i opadały z nas, jak łupież. Trzeba starać się—choćby po swojemu—skonkretyzować sobie w jakiś sposób pojęcie religijne, włączyć je w obieg własnego, moralnego i intelektualnego życia.

Choćby po swojemu... Mówmy otwarcie. Iluż jest pośród inteligencji polskiej ludzi „na serjo“, dla których sprawy wiary są kwestją zasługującą na uwagę? Czy wobec tego my tu, na pograniczu Europy i Bolszewji, przedstawiamy żywioł w dostatecznym stopniu od owego państwa, co stoi na usługach materjalistycznego światopoglądu, wyodrębniony, z dostateczną ostrością, wyrazistością przeświadczenia i głębią nienawiści materjalizmowi przeciwstawiony?

To też dziś zależy nie na tej lub tamtej formule — ale zależy już na uratowaniu całej cywilizacji europejskiej, spirytualistycznej cywilizacji, której osią jest chrystjanizm, uratowaniu jej przed fizycznemi ciosami barbarzyńców, uratowaniu jej wobec naszych własnych sumień, które niepokoją się stylem, jaki z dnia na dzień w oczach naszych życie spółczesne przybiera. Jeśli Kościół zwraca się dziś do społeczeństw z domaganiem się współpracy—to z drugiej strony i społeczeństwa—a raczej te żywioły, które niebezpieczeństwa grożące spirytualistycznemu typowi cywilizacji dostrzegają — zwracają się do Kościoła z postulatem takiej postawy jego, aby on rzeczywiście mógł stać się ośrodkiem organizacyjnym oporu przeciwko nawale materjalizmu od zewnątrz, od Bolszewji, i od wewnątrz, od niezliczonych i wszelkiego autoramentu żywiołów nihilistycznych. Wielu ludziom zależy na tem, aby mogli stanąć u boku tego potężnego szermierza walki o wiarę w Boga, jakim jest katolicyzm— choć sami dopiero drogi do tej wiary szukają. — I w imię prawości, w imię rzetelności intelektualnej, nie mogą przyrzekać zgóry niczego — oprócz dobrej woli wobec wszystkiego—idei, obyczajów, instytucyj,

które ratują dla zbiorowego człowieka tę wielką i jedyną osłonę przed zdziczeniem, zdeptaniem i rozpaczą, mianowicie wiarę w Boga.

Że w Kościele katolickim jest zrozumienie potrzeby chwili—świadczy dziś dość objawów, potwierdzających *), że cywilizacja nasza w walce z materjalizmem może znaleźć w nim „potężnego anioła czynu“—przez to mianowicie, że Kościół wagę główną kładąc na typie obyczaju swoich wiernych, wierzeje swe szeroko może otworzyć dla tych, którzy uczciwie, według własnego typu intelektualnego, własnej „struktury“ psychicznej—ratują się.

Wprawdzie „pokój przyszłem dobrem, przyszłem szczęściem mojem"—ale to są jakieś bardzo wysokie wyżyny, mało komu dostępne, na których jest się w pokoju pozytywnym, żywym, wartościowym. W naszych duszach, zwykłych śmiertelników, pokój jest częściej zautomatyzowaniem, rutyną, zużyciem się przeżyć patetycznych, wysoko wartościowych; wartości duchowe posiada się raczej przez to, że się je zdobywa, że się ich broni, że się one aktualizują przez stan walki wewnętrznej z niepewnością. Oczywiście niepewność nie może być normą — byłby to dyletantyzm ideowy — ale jest wiele wypadków, w których stan niepewności jest już objawem radosnym... Niepewność religijna i zmaganie się z nią, to są dzisiaj te miejsca kulturalnego życia, w których się ono odkleja, odrywa choćby z bólem od materjalizmu, w jakim główne masywy współczesności ugrzęzły.

Kilkanaście zdań poniżej, będą miały formę dogmatyczną; ale będzie to tylko skrót, właściwem ich brzmieniem byłoby: „przypuszczam, że“... Będą one miały charakter subjektywny; przekonany jednak jestem, że zasadniczo są one w zgodzie z wielu innemi współczesnemi próbami indywidualnemi nawrotu do wiary—i że w ten sposób zyskują one znaczenie poniekąd objektywne „szkicu religijności współczesnej“—przyczem mam na myśli nietylko ludzi stojących poza Kościołem, lecz też *au fond* i wielu praktykujących, ludzi żywej wiary.

Wszelka dokumentacja rozbiłaby niepomiernie ramy tego szkicu — wymagałaby właściwie podjęcia się pracy Brèmond'a odnośnie do naszej literatury.

*

1. Moim punktem wyjścia jest sprawa między człowiekiem a Czasem.

„Ach, czas jest gorzki, ach, czas jest okrutny,
I człowiek w czasie żyjąc, żyje smutny".

Żywoty stworzeń to fale, które nie chcą rozpłynąć się.

„Die Welt ist tief, tiefer als der Tag ge-
[dacht.
Tief ist ihr Weh... Lust noch tiefer als
[Herzenleid...
Weh spricht: Vergeh!...
Doch alle Lust will Ewigkeit, will tiefe,
[tiefe Ewigkeit!“...

W człowieku z charakterem buduje się ponad żywotem biologicznym nowe życie, życie wartości ducha, które również nosi w sobie odwieczne zagadnienie żywotów: Jak ze zmiennego, nietrwałego, płynnego, budować stałe i trwałe?

Tu jedna tylko rada: Być samemu metodą. Życie stworzeń to metoda jakaś. Charakter, to metoda życia duchowego taka, aby jaknajmniejszy był zanik wartości podczas zmian stawania się.

*

2. Jak na fali rzecznej tworzą się centra wirowe spokoju, centra, które trwają dopóty, póki jakaś nowa fala mocniejsza nie napłynie i nie rozerwie ich, tak i w życiu: Życie stworzenia jest to centr, względnie trwały i nieruchomy, którego obwód wytyczony jest stycznemi prądów, co dookoła niego wirują. Ale ten centr, więcej niż centr wiru wodnego, ma swoją wolę trwania, odpycha prądy, które napierają zbyt silnie, które naruszają równowagę.

Świadome życie ducha jest też centrem takim. Centrem między prądowiskami wartości, które zrodziły się bez nas, nam są przyniesione, kształtem swego szczególnego w danem miejscu przecinania się wytworzyły nasz szczególny charakter, naszą osobowość—ale przecież żyją dalej, automatycznie, poza nas, każde z nich grozi naruszeniem równowagi na swoją stronę i zniweczeniem w ten sposób naszej osobowości moralnej; ale w tem wirowisku, na płaszczyźnie wytworzonej przez styczne prądów przecinających się—jest nasza świadoma wola, wola, co wysiłkiem swym nieustannym wytwarza równowagę heterogenicznych, przez psychikę naszą przebiegających prądów wartości, czuwa nad tą równowagą.

Podobnież jak żywoty biologiczne, indywidualne, jak żywot duchowy—moralny—podobnież i cała cywilizacja jest miejscem względnej równowagi i trwałości w olbrzymiem okolisku prądów energji życiowej, nierozumnych, chaotycznie skłębionych, obcych nam, choć nas wyniosły. Cywilizacja i człowieczeństwo zaczęły się i zrobiły się — tak przynajmniej dziś w świetle empirji nam się wydaje — bez zamiaru. Poprostu wzajemnie się neutralizowały i przeciwdziałały sobie, równoważyły się, najróżnorodniejsze tendencje życiowe. Z przecięcia się tych prądowisk powstała jakaś platforma względnie stała, względnie bezpieczna, na której stoimy. Stoimy na niej, ale na chwilę ustać nie możemy w czujności naszej—gospodarować świadomie i nieustannie musimy energjami—bo każda z nich, każda z tendencyj, jest sama w sobie, z osobna biorąc, prądem destruktywnym, odśrodkowym, bo oto te prądy odśrodkowe, idące po swych własnych własnym automatyzmem wytyczonych linjach, każdej chwili mogą nam naszą prowizoryczną platformę rozerwać.

*

3. A w chwili kiedy żelazo naszych dłoni poczyna mięknąć, kiedy się zachwiewa nasz byt biologiczny, byt moralny, byt społeczny cywilizacji naszej, kiedy ponad otchłanie zjawisk zmiennych i od nas tylko częściowo zależnych, rzucona platforma nasza poczyna trzeszczeć, kiedy praca nasza kontrdestruktywna poczyna nas zawodzić—wtedy strzelamy w puste, gwiaździste niebo ponad nami anteną zaufania. Przypuszczamy, że sprawa nasza nie jest absolutnie samotna, że nasza walka o charakter, o charakter w znaczeniu ciężarów i rozstrojów biologicznego żywota, o cha-

---

[1]) Por. np. co pisze opat Benedyktynów, O. Bonifacy Wöhrmüller: *„Gewiss rechnet Gott manchem Andersgläubigen den Irrtum weniger an, als manchem Rechtsgläubigen seine Lieblosigkeit, und vergessen wir nicht die Katechismuswahrheit dass aus allen Konfessionen und Gottgläubigen Religionen Menschen von gutem und reinem Wollen, deren Zahl wir nicht kennen, zur Seele der einen wahren Katholischen Christuskirche gehören"*. (W czasopiśmie *„Die Seele“*, rocznik III, ser. 7). Podobnież w książce półoficjalnej p. t. *„Pourquoi Roma a parlé“* (Paris, ed. Spes, str. 127): *„Ce bienfait sans prix* (Łaska)... *est pourtant répandu, selon une mésure, comme de Dieu seul, sur tous ceux, qui l'invoquent avec un coeur droit, ...et que par ce secours très doux, pur et bienfaisant, chacun devient meilleur. Ou tomberait le monde le jour où cette lumière de croyance en Dieu viendrait s'éteindre? Si la barbarie n'est pas complète chez les nations ignorantes de message évangélique, ne le devions nous pas à cette naturelle, pure et déjà sainte croyance en Dieu, indéstructible dans la conscience humaine?*

rakter w przemijaniu naszej psychy, o charakter w naszym zbiorowym, międzyludzkim trudzie podtrzymania cywilizacji—że walka ta ma swoją ważność metafizyczną, że jest jakimś wyborem, że jest oświadczeniem się naszem po czyjejś stronie.

Nie wiemy jeszcze nic bliżej — co to jest — ale wiemy to jedno: że jeśli z tą myślą, tą hypotezą, tą nadzieją, tą—poprostu wiarą—poczynamy wołać—gdzie wołać?—wołać gdzieś ku głębinom naszej świadomości, ku korzeniom naszej woli o pomoc, to wstaje w nas wielki pokój i ustala się odwaga i jakaś wielka pogoda dobroci i przebaczenie roztacza się wtedy. To jest pierwszy, wewnętrzny, czysto osobisty punkt wyjścia modlitwy. Modlitwy w siebie, do swego własnego wnętrza.

Ale to co jest ponad nami, to zródło tajemnicze sił ożywczych naszego charakteru, nie może być naszą wyłączną, osobistą własnością. Pominąwszy inne, immanentne powody tego zastrzeżenia, jeden jest aż dostatecznie przekonywający: Empirja historyczna, fakt, że podobne doświadczenie z modlitwą — poczynione zostało po tysiąckroć razy. Warunkiem modlitwy nieskrępowanej w locie swoim jest postulat objektywnego istnienia celu, ku któremu ona zdąża. Doświadczenie modlitwy jest niepełne, nieudane bez tego postulatu. Postalat ten jest stawiony przez wszystkich modlących się. Indywidualnie więc możnaby postulować tylu Bogów, ilu jest modlących się. Skoro jednak faktem jest, że najwyższe formy modlitwy, z historji znane, a także i wszystkie przeciętne jej kształty, byleby poczęte w rzetelności, w skupieniu, sprowadzają zasadniczo identyczne skutki — ustalenie charakteru, większą odwagę życiową, większą wspaniałomyślność, podniosłość ducha, w której już i dobroć i wybaczenie się mieszczą — przeto przyjąć należy jednolite działanie tych indywidualnych, osobistych „celów" modlitwy; a przeto, gdyby nawet bezpośredniemi celami i wysłuchiwaczami modlitw indywidualnych były pojedyńcze „nad—ja", to jednakże te „nad—ja", ci—powiedzmy tak!—„Aniołowie-Stróże" działają wspólnie i harmonijnie, odnoszą się—„odnoszą nasze modlitwy" — do wspólnego, wyższego centrum — poprostu do Boga. Modlitwa w siebie, staje się modlitwą w Boga, do Boga.

Oczywiście, można zaprzeczyć objektywności celu naszej modlitwy, owego—„nad — ja", „Anioła-Stróża", a w ostateczności i Boga, na tej drodze wywnioskowanego. Ale wtedy urywa się eksperyment.

A my właśnie pytamy, czy wolno — to uczynić — bo wszak idzie tu nietylko o eksperyment nasz indywidualny, lecz o eksperyment dziejów — o metafizyczny eksperyment ludzkości. Czy wolno wyjaławiać duszę z pewnej głębokiej jej intencji?

*

4. Tak—(w ostatniej instancji, poza kwestją indywidualnego znaczenia modlitwy i wiary, którą modlitwa wywołuje, a zarazem suponuje) idzie nam o metafizyczny eksperyment ludzkości; tu jest ostateczny wybór, ostateczne zmierzenie się typów, ostateczny impuls do walki o ten styl życia, który zawiera modlitwę, indywidualną i zbiorową. Kwestja typu — bo kwestja posiadania w sobie instynktu czci dla pewnych rzeczy — i posiadania w sobie uczucia bojaźni świętej — czucia, że „głębokim, głębokim jest świat", że ciche skrzydła wielkich, nadludzkich spraw muskają nasze czoła, że Rzeczywistość w swem bogactwie jest nieprzebrana, że zawsze może być „wyżej", że w porywach kojących podziwu wobec piękna, że w szarpiących spazmach umiłowań, którym aż śmierci, ofiary bezwzględnej potrzeba, że w pokoju stalowym decyzyj absolutnych — sięgamy zaledwie najniższych progów jakiegoś wyższego, możliwego — a przez to samo już napewno rzeczywistego! — życia...

Rodzimy się w kulturze, jakbyśmy rodzili się w samolocie, unoszącym się ponad otchłanią; i wysiąść z kultury nie możemy, i nic nam nie pomoże, gdyby pilot nagle motory powstrzymał — tak, czy owak, czeka nas tylko upadek śmiertelny. Więc, jeśli dla nas, którzy jesteśmy ogarnięci kulturą w ruchu — jest absolutnie racjonalne, dlaczego ruch ten utrzymywać należy—(bo inaczej groziłby nam upadek w chaos, barbarzyństwo, wyuzdanie, któregobyśmy nie przeżyli) — to jednak, mimo to, kwestja ruchu kultury, kwestja jej sensu, pozostaje groźną zagadką, zagadką metafizyczną. Cóż ją puściło w ruch i poco? Któż zaręczy, że gorzej byłoby było pozostać na czworakach, albo pozostać małpoludem kosmatym, mówiącym nie ideałami, ale rykiem?... I nihilizm w tak różnorakich formach swych nie czem innem jest, jeno zmęczeniem kulturą, jeno reakcją na ten tajemniczy, despotyczny poryw, który nam kręgosłup wyprostował w górę i rozdął czaszkę i z czaszki tej wyprowadził sieć pajęczą idej, które oplotły i krępują nasze biedne, zwierzęce ciała. I któż wie, może opłaciłoby się kosztem jednego, dwóch, trzech pokoleń, strzaskanych w swym bycie cywilizowanym przez eksplozję prainstynktów, wrócić do stanu natury, odprężyć się i wypocząć z człowieczeństwa?... Któż wie?... Trzeba obnażyć w sobie pokusę nihilistyczną, trzeba wcierpieć się w niezliczone cierpienia ciał, trzeba z pokusą odczłowieczenia się zmierzyć się oko w oko, dojrzeć głębię jej zawrotną—a wtedy wie się jedno: Tu dzieje się coś niesamowitego, tu wyższe jakieś potęgi zagarniają nasze życie, tu zaczyna się religja; tu czuje się, że kultura jest przejawem nowego jakiegoś w przyrodzie życia, i że my tem życiem — życiem duchowem — wdrążamy się w jakieś głębsze, bardziej intymne słoje Rzeczywistości, słoje o których nic jeszcze zwierzęciu niewiadomo, że tu dokonywa się jakiś wielki eksperyment, którego sens nam jeszcze zakryty, ale z którym aktem bohaterskiego, ostatecznego wyboru, solidaryzujemy się. Solidaryzujemy się, bo przywodzi nas do tego obawa, ażeby nie zgrzeszyć metafizycznie, wobec Rzeczywistości, opuszczając drogę tak przedziwną — bo przywodzi nas do tego szacunek dla olbrzymich wkładów człowieczych, które już w tę drogę inwestowano. Dalibóg, dzieje się tu jakaś sprawa śmiertelnie poważna, skoro wielu dla niej — wyrzeka się życia pełnego (celibat).

O cóż to idzie — gdy obnażymy najgłębsze uczuciowe sprężyny — w walce katolicyzmu z liberalizmem? Oto: Czy asceza ma sens? To nadaje całej walce po jednej i po drugiej stronie akcenty przekonania, zawziętości, bezwzględności. I tu sprawdzian istotny dla stanowiska religijnego lub antyreligijnego. Nie kwestje takiej czy owakiej konstrukcji intelektualnej — ale kwestja czci dla życia w ascezie lub lekceważenie tej ofiary z namiętności. Kwestja czy się uznaje wyższy, mniej lub więcej irracjonalny, tajemniczy, ale zawsze czcigodny i żywy sens owej ofiary — czy też nie?...

Ktoś twierdzi, że obchodzi się całkiem dobrze bez modlitwy. Człowiek przyzwoity, *gentleman*. Ale czyż nie dostrzega granic swej własnej cnoty, laickiej?... Czy wie czem byłby z wiarą? Ktoś, bez wiary, wzniósł się na wysokie wyżyny poświęcenia. Czy naprawdę bez wiary?... Może to tylko nieporozumienie mowy? Ale przedewszystkiem: Ile on korzystał z kapitału poświęcania, złożonego w nim przez kerew przodków, dyscyplinowanych przez wiarę, ile z manacyj wiary,

rozsianych po całej kulturze i działających pobudzająco na serca już z natury szlachetne? Ile zresztą tajemnicy jest w ukształtowaniu i porywach dusz?... Jakkolwiek ma się sprawa z jednostkami — to przecież dla wielu z nas nie ulega wątpliwości, iż zbiorowość ulega przez wiarę kształtowaniu, aczkolwiek nie tak intensywnemu, jakby serca nasze pragnęły, to jednak dostatecznie wyraźnemu, ażeby można było kwestję wiary postawić jako kwestję „eksperymentu" zbiorowego, „eksperymentu ludzkości". Pozostaje w razie braku indywidualnych „uzdolnień", kwestja poczucia odpowiedzialności wobec tego eksperymentu ponadindywidualnego — poczucia uwarunkowanego zresztą temi intencjami poważania wobec pewnych wysiłków oraz metafizycznej bojaźni i ufności. (Idzie więc wkońcu o walkę typów, więcej i mniej uposażonego).

*

5. Kiedy nam pod nogami trzeszczy platforma naszego bytu, wtedy uciekamy się do modlitwy... Według przysłowia: „Jak trwoga to do Boga"...

Ale jest inne mądre chłopskie przysłowie: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie."

Człowiek rozważny rychło pojmie, że

„o ile dusza w Bogu, o tyle Bóg w duszy,
ile się dusza wzruszy, tyle Boga wzruszy".

To znaczy: Jeżeli mamy w chwilach osobliwych posiadać w sobie kapitał wiary, mieć w sobie uprawnienie moralne do kopania w objektywnych, mocodajnych terenach naszego ducha, to musimy do tego przygotować się życiem codziennem: Żyć metodycznie — według wiary w Nadświat Boży — tj. w wyższy sens naszego starania o charakter i w wyższą staraniu temu pomoc.

I tu już oglądamy się za tymi, którym więcej wiadomo niż nam. Oglądamy się za wiarą gorącą, od której ogrzaćby się mogła nasza nieodmarzła wiara, za ufnością potężną, u której zapalić moglibyśmy kaganek naszej ufności, oglądamy się za punktem konkretnym zaczepienia wiary. Podchodzimy do NAUCZYCIELA, do TEGO, KTÓRY WIEDZIAŁ.

Religijność nastroju staje się religijnością obyczaju.

*

6. Obyczaj religijny to jest obyczaj modlitewny, czyli życie tak, jakby ze współdziałania pomocy zwyż i naszych własnych starań o charakter, miała się począć w nas i w ostatniej naszej chwili narodzić do nowego, tajemniczego, ale bardziej słonecznego życia, bardziej widząca nowa istota, — „dusza zbawiona, nieśmiertelna"—ten obyczaj w patosie swoim nie ma równego sobie. I nie mamy powodu stanowczego do zaprzeczenia, owszem, wolno nam, bez obrazy logiki i doświadczenia ufać, że zachodzi szczęśliwa zgodność pomiędzy wartościami naszemi subjektywnemi a objektywną strukturą Rzeczywistości. Wolno nam ufać, że patos nasz, że to, co służy właśnie pięknu naszego życia wewnętrznego, jest istotnym składnikiem Rzeczywistości, to jest, że w jakiś sposób zastało w niej zamierzone, że nie jest zdarzeniem przypadkowem, lecz jest przejawem, ekwiwalentem pewnych procesów rzeczywistych, transcendentnych.

Obyczaj religijny, ażeby sam siebie przekonać, skrystalizować się, utwalić, na robotę, na wywiady wysyła inteligencję. Religijność obyczaju, jako swoim instrumentem, swoją podporą posługuje się myślą religijną. Myśl bez praktyki jest czcza, jest zabawą dziecinną sztonami, jest igraniem znakami bez wartości. Ale praktyka potrzebuje myśli: Nic w psychice niema naprawdę trwałego, nic nie determinuje woli w sposób stanowczy, co nie przeszło przez intelekt, co nie zostało schwytane w logicznie powiązaną sieć pewnych zdań twierdzących. *Primum vivere*, ale *deinde philosophari*. Poza logiką, ale nie wbrew logice.

(Dok. nast.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

POEMAT O CHRYSTUSIE

NA całej niemal najnowszej literaturze polskiej i w języku polskim pisanej zaciążył niebezpieczny bardzo błąd logiczny, przed którym przestrzega Karol Maurras [1]): ze spostrzeżenia trafnego, iż „radość z niespodzianki nieodłączna jest od żywego uczucia zachwytu" wyprowadza się zgoła nieuzasadniony wniosek, jakoby piękno równoznaczne było z nowością, co w końcowym wyniku powodować musi rozmiłowanie się we wszelkiej osobliwości i dziwaczności. Zrozumiałe jest też najzupełniej, że wśród mozołu kombinowania coraz to niezwyklejszych pomysłów, określeń, metafor, wyjątkowo podatne musiały okazać się tematy i motywy o charakterze religijnym. Dostrzeżono w nich nie wyeksploatowaną jeszcze żyłę złota nieoczekiwanych przenośni i zestawień, jaskrawych „oryginalności", od których przez długie stulecia powstrzymywała poetów tradycja i pobożna nieśmiałość. Bezpośredniość stosunku do Stwórcy, jaką kosztem olbrzymiej pracy wewnętrznej osiągnął w ostatnich latach życia Kasprowicz, źle zrozumiana, stała się jedną więcej zachętą do szukania niezużytych efektów pisarskich w zewnętrznem czysto naśladownictwie naiwnej religijności prymitywu. Najogólniej też, modny obecnie stosunek światka literackiego do Boga i do zagadnień religijnych określić możnaby formułą: „więcej poufałości, niż znajomości" [2]). Pouczający przykład takiej właśnie nieusprawiedliwionej zażyłości i podrabianej „prostoty" może stanowić chociażby następujący urywek z wiersza Marji Pawlikowskiej p. t. „Poczciwcy": „A Bóg mnie poczęstował tak mocnym papierosem—Z gwiaździstej, czarnozłotej swej papierośnicy..."

W tych warunkach szczególnej zupełnie wartości nabiera ogłoszony niedawno „Niebieski Gość. Poemat o Chrystusie" Anny Słonczyńskiej [3]). Wartość tę nadaje mu prostota rzeczywista, tak bezpośrednia i szczera, że pozbawiona już jakiejkolwiek pozy na prostotę, naturalność niezamierzona, bezwiedna. Anna Słonczyńska—i to jest może najcenniejsza cecha jej, jako poetki — dla „prostoty" nie przebiera się bynajmniej w chustę włościańską albo habit mniszy, nie przestaje posługiwać się własnem słownictwem, nie przestaje patrzeć na świat własnemi oczyma. Sobą jest dlatego

[1]) Charles Maurras: *„Romantisme et Révolution"*. Paris, 1922, p. 183 sq.

[2]) Por. zwłaszcza stosunek do Chrystusa w wierszach pp. Tuwima, Wittlina i t. p.

[3]) Warszawa 1929. Nakład Gebethnera i Wolffa.

przedewszystkiem, że się o to specjalnie nie stara, tak jak w salonie najswobodniej zachowuje się osoba, obyta towarzysko, nie zmuszona pamiętać bez przerwy o tem, że dobry ton nakazuje wystrzegać się „nienaturalności“ i „sztywności“.

Bardzo znamiennem świadectwem tej właśnie prostoty jest język, jakim Anna Słonczyńska posługuje się w swoim najnowszym poemacie. Jest to język dzisiejszy, inteligencki, język konwersacji salonowej, ani uroczysty bardzo, ani dosadny, nie olśniewający ani bogactwem niezwykłem, ani szczególną barwnością. O „Niebieskim Gościu“ opowiada poetka najzwyczajniej, wystrzegając się zarówno archaizmów jak gwary ludowej, jakby z umysłu wybierając pośród synonimów wyrazy najczęściej używane, najmniej osobliwe. Czasami nawet, wprawdzie tylko wyjątkowo, ów język rozmowy towarzyskiej nasuwa jej wyrażenia takie, jak „c a ł u s palący Judasza“ (zamiast: pocałunek), albo „godzina w i e c z o r o w a“ (zamiast: wieczorna)...

Jeszcze bardziej charakterystyczny, niż język, jest świat wyobraźni poetki. Jest to tenże sam świat wytworny, właściwe jej środowisko, świat salonowej ogłady, najodleglejszy od jakiegokolwiek zamiłowania do ekscentryczności. Ulubione jej porównania — to wielekroć powtarzające się: róże, kwiaty, girlandy; łzy Chrystusa lśnią „brylantowo“, nędza jest „najświetniejszym z wszystkich strojów“, pod palcem czuć „jedwab liści“. Chrystus idzie „po giętkiej łamliwej powierzchni jeziora, jak po szkle kryształowej niezłomnej posadzki“. Czyż ten świat dobrych manjer mógł był znaleźć prawdziwsze odzwierciadlenie, niż ów obraz Chrystusa podczas uczty, kiedy zgodnie z nakazami *savoir vivre*'u

„na prawo i na lewo, nie czyniąc różnicy,
chylił się ku sąsiadom z rozmową życzliwą!“

Warto bliżej zastanowić się i nad tym językiem i nad tym zakresem wyobraźni autorki „Niebieskiego Gościa“, bowiem stanowią one głębsze znacznie, niżby się napozór mogło wydawać, odpowiedniki całej jej postawy duchowej. Jeżeli Anna Słonczyńska pisze swój poemat o Chrystusie językiem zwyczajnej rozmowy, jeśli porównań, metafor, poetyckich obrazów nie szuka poza światem sobie najbliższym, to odpowiada to temu, że życie nie przedstawia jej się jako przepołowione na dwie obce sobie zupełnie dziedziny: świętości i codzienności, jako serja następujących po sobie naprzemian ekstatycznych wzlotów i—upadków, pogrążań się w grzechu. Świadomość obecności Niebieskiego Gościa towarzyszy jej ciągle i nieprzerwanie, pośród przeżyć dnia powszedniego, wśród najbłahszych radości i kłopotów. Niczem stały promień światła o równem natężeniu, przenika ta świadomość cały poemat, ozłacając go łagodnym blaskiem najszczerszej, głębokiej religijności. Prześwietlony tem gorącem uczuciem, prosty wiersz nabiera piękna niewątpliwego, przypominając chwilami szlachetny urok stanc Moréas'a (nawiasem mówiąc, odświeżył o nich pamięć Stanisław Miłaszewski, dodając kilka mistrzowskich przekładów w ogłoszonem przed paru tygodniami drugiem wydaniu swego „Gestu wewnętrznego“). Najprawdziwszą, wysokiej miary poezją tchnie taki choćby fragment „poematu o Chrystusie“:

„Nie mówić dużo, nie drżeć, nie szlochać, nie padać
uczył nas, kiedy ręce wznosimy do nieba:
(wszak Pan wie — nim zaczniemy sami opowiadać —
o wszystkiem, co nas boli i czego nam trzeba...)

tylko z ran naszych świeżych, co żywą krwią cieką,
bandaże pychy zdarłszy i precz odrzuciwszy,
szeptać — oczy na gwiazdach trzymając daleko —
„O Ojcze nasz, o Ojcze, o Ojcze najtkliwszy!“

I tu właśnie ujawnia się tajemnica najgłębszej i najtrwalszej zarazem wartości poetyckiej „Niebieskiego Gościa“. Anna Słonczyńska stawia sobie za cel przybliżyć jaknajbardziej Chrystusa do ludzi dzisiejszych, udostępnić Go ich wyobraźni: „Był prawdą oczywistą—a nie snu marzeniem — człowiekiem pięknej twarzy, wysokiego wzrostu...“ Czytelnik przez króciutką chwilę niemal z uśmiechem spoglądać chce na tę wizję przystojnego, uprzejmego Zbawiciela, lecz nagle poważnieje: postać Niebieskiego Gościa za stołem biesiadnym płonie nadziemskim blaskiem. W eleganckim salonie, w ozdobnym kryształowym wazoniku zakwitł niespodziewanie mistyczny kwiat żywej wiary.

JAN REMBIELIŃSKI

NOWACZYŃSKI O STARYM KRAKOWIE

NAJWAŻNIEJSZYM argumentem przeciwnych przyznaniu nagrody Nowaczyńskiemu członków *jury* ostatniego krakowskiego konkursu dramatycznego było twierdzenie, że świeża sztuka autora „Nowych Aten“ jest w swej treści złośliwym paszkwilem na Kraków i jego mieszkańców, że więc przez krakowski teatr ani nagrodzona ani wystawiona być nie może. Podyktowany jedynie osobistemi animozjami i partyjną mściwością fałsz tego twierdzenia demaskuje obecnie ogłoszony drukiem tekst komedji Nowaczyńskiego, która p. t. „W i o s n a n a r o d ó w“, (podtytuł: „W c i c h y m z a k ą t k u“) wyszła nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie.

Stosunek Nowaczyńskiego do Krakowa w rozmaitych czasach rozmaity przybierał wyraz.

Podstawa jednak tego stosunku pozostawała zawsze niezmieniona. Sam Nowaczyński wyznaje z dumą, iż nikt mocniej od niego nie ukochał Krakowa, nikt więcej nie interesował się życiem jego mieszkańców. Im zaś głębiej miasto rodzinne miłował, tem bardziej musiał cierpieć, widząc i słysząc, co się tu działo i dzieje. Szczególnie jednak — co znów sam otwarcie stwierdza — nie podobała mu się „polityczna mentalność Krakowa“ (począwszy od r. 1876), nie podobał mu się czarno-żółty pokost na domach i ludziach. I ten starał się w swych inwektywach zeskrobywać. Kochając Kraków i krakowian, nienawidził Nowaczyński „Krakówka“ i „*Krakauerów*“. Nie znosił również zalatującego od Kazimierza (dzielnica żydowska) zapachu nie tyle róż sarońskich, ile jerychońskiego śmietnika. Szydził więc z partykularyzmu, obskurantyzmu, oportunizmu, filosemityzmu i wielu jeszcze innych „izmów“. Naigrawał się, kpił, dowcipkował, ośmieszał, przyganiał, pieprzył i solił, a czasem i przepieprzył i przesolił. Nic to dziwnego, gdy się co robi z przejęciem, a temperament ponosi. Stąd satyro-komedja na „Nowe Ateny“ zaściankowości, pyszałkostwa, kołtunerji, wielegadania a małorobienia, obchodomanji i tromtadracji. Że zaś nie wszyscy zdawali sobie sprawę, iż nienawiść jest miłością *à rebours*, zaś chłosta

tylko swoistą odmianą pieszczoty, czy też najfamiljarniejszym środkiem wychowawczym—*inde ira* oraz przyczyna pozornego nieporozumienia. Do wyjaśnienia tego nieporozumienia, do niedwuznacznego określenia stanowiska Nowaczyńskiego wobec Krakowa i krakowian ma przyczynić się jego ostatnia komedja. Sam Nowaczyński oświadcza w tym względzie, że napisał „Wiosnę narodów"—„w intencji nawiązania z Krakowem na stare lata ponownie sympatycznego kontaktu, powiedzmy sobie w zamiarze „pogodzenia się" z rodzinnem miastem". Miejmy nadzieję, że ta świetna, pełna serdecznego ciepła komedja istotnie wszelkie nieporozumienia wyjaśni, a tego marnotrawnego syna, to *enfant terrible* na macierzyńskie łono podwawelskiego grodu przywróci.

W poszukiwaniu tematu zatrzymał się Nowaczyński przy roku 1848, który w związku z rozbudzonemi nadziejami wolnościowemi zapisał się ciekawemi wydarzeniami w kronikach miasta Krakowa. Wypadki, których widownią był Kraków pod koniec kwietnia (szczególnie 25 i 26.IV 1848 r.) — to istotnie burza w szklance wody, rewolucja *en miniature*, robiona przez małych ludzi, powołanych nagle do wielkich interesów, nic tedy dziwnego, że wszystko skończyło się przeważnie na krzyku, huku-stuku, strachu i tradycyjnej emigracji. To też uznawszy, iż zasadniczo czasy i ludzie nadają się do ewokacji literackiej, nie spojrzał na nie Nowaczyński z wyolbrzymiającego wszystko w koturnowe zarysy dystansu tragicznego patosu, lecz z pomniejszającego, a raczej przywracającego do właściwych proporcyj punktu widzenia komedji, która herosów historji rozbiera z paradnych kostjumów dla okazania w negliżu ich ludzkiego, arcyludzkiego wyglądu. Już sam tytuł jest wyrazem takiego a nie innego stosunku autora do tematu.

Prowadzi nas w tej komedji Nowaczyński w „cichy zakątek" krakowskiego partykularza, leżącego na uboczu wielkich wydarzeń dziejowych i rozbrzmiewającego zaledwie ich odgłosem. Akt I zatytułowany „Przedświty". Jesteśmy w kawiarni *maman* Liedermeyer w Strzeleckim Parku na Lubiczu, u której zbiera się *toute Cracovie*, stąd możność zapoznania się z przedstawicielami rozmaitych sfer społeczności krakowskiej oraz z panującemi podówczas nastrojami. Na wiadomość o zbliżającej się od Zachodu „wiośnie ludów" — „ojczyźniaków" (partja niepodległościowców) ogarnia febra rewolucyjna, zwana „*morbus* Polka". Stąd zmartwienie „kompromislerów" (ugodowców). Zawiązkiem armji rewolucyjnej ma być gwardja obywatelska, której ewolucje („Sypcie proch do rurki!... I ognia z dziurki!") oraz przegląd zamyka akt sceną obfitującą w komiczne efekty. W akcie II uczestniczymy w zgromadzeniu „klubu wolności" w Amfiteatrze Nowodworskiego w Wielki Czwartek 1848 r. Obrady pełne są komicznych interludjów. Tok debat wtajemnicza nas w walkę o wpływy między radykalnym „klubem wolności", a nie chcącym zbaczać z drogi legalności Komitetem Obywatelskim. „Rokoszanie" (młodzi) prą do zbrojnego wystąpienia przeciw Austrji, „rakuszanie" (starsi) obawiają się, aby Rezurekcja r. 48 nie zamieniła się w Insurekcję, a Rękawka w nową ruchawkę. Rozpoczęły się ferje (młodzieży), będą brewerje. Akt III przedstawia raczej groteskowo, aniżeli tragicznie ujęte historyczne wydarzenia z najgoretszych dla Krakowa dni 25 i 26 kwietnia 1848 r. (tutaj w jeden dzień ściągnięte) jako „*Krawall* w *Gubernium*". Starosta baron Krieg, czując się silnym wobec nadejścia do Podgórza pół dywizji *Deutschmeisterów* i zaciągnięcia armat na Wawel, przyjmuje bardzo ostro przybyłą do niego delegację obywatelską, zapowiadając pacyfikację Krakowa i oczyszczenie Straży Obywatelskiej z „*turbulente Elemente*" i „*lästige Ausländer*" t. j. emigrantów, którzy w ostatnim czasie zaczęli masowo z Francji do kraju powracać. „*Point des breveries*!" — trawestuje Krieg słynne powiedzenie cara do delegacji polskiej. Tymczasem w mieście wybuchły rozruchy, tłum sprowokowany wystąpieniem wojska zaczął budować barykady i zbroić się. Feldmarszałek Castiglione (d-ca wojsk austr.) został przy przejeździe ulicą Grodzką oblany nieczystościami (fakt historyczny), oraz raniony czcionką drukarską w „sempiternę" (*de facto* w policzek). Rebeljanci uderzają m. in. na *Gubernium*, wybijają szyby w oknach, niszczą papiery, a wywlókłszy Kriega z ukrycia za szafą, biorą ze sobą jako zakładnika. Elegijny akt IV, poświęcony pożegnaniu „odjeżdżających" na rozkaz Kriega emigrantów, zamyka autor komiczną sceną wzajemnego pocieszania się opuszczonej przez córki (które odjechały z emigrantami) *maman* Liedermeyer i opuszczonego przez narzeczone ekskomisarza cyrkułowego Nedostala. Scenę tę przepieprzył nieco Nowaczyński pikantnemi dowcipami.

Oto pokrótce przedstawiona treść nowej komedji Nowaczyńskiego, odznaczającej się wszystkiemi zaletami świetnej techniki komedjowej i błyskotliwego stylu autora „Wielkiego Fryderyka". Ponad komizmem charakterów czy sytuacyj góruje tu komizm słowa, zasadzający się na dowcipnych powiedzeniach, niespodziewanych paradoksach, trawestacjach, kalemburach i tej całej wprost akrobatycznej grze słów, w której Nowaczyński jest mistrzem. Jedno tylko zrobilibyśmy tu zastrzeżenie, że wprowadzony dla zindywidualizowania wypowiedzeń żargon niemiecko-polski Kriega czy czesko-polski Nedostala na dłuższą metę nuży, szczególnie w lekturze. Obok rysów znanych już z dawnych utworów przynosi „Wiosna ludów" cechę nową, wyróżniającą tę komedję od całej dotychczasowej twórczości Nowaczyńskiego. To jakiś ciepły ton uczuciowy, ton serdecznej pobłażliwości oraz jakiś nastrój pogody, wypełniający atmosferę tej komedji. Tyle w niej jest świeżego sentymentu, tyle dobrodusznej wyrozumiałości dla wad i śmieszności ludzkich, że mimo karykaturalności postaci, wszystkie one, nawet „pepiczka", komisarza Barnabasa Nedostala, ba nawet starozakonnego Rosenstossa wypadają sympatycznie, iż wprost się nie chce wierzyć, aby fizjognomje ich rysował najzłośliwszy z karykaturzystów.

Dzięki znakomitemu rysunkowi występujących osób, licznym efektownym scenom, dowcipnej szermierce słów w wartkim toku żywego djalogu, wogóle dzięki przepajającemu całość elementowi prawdziwego komizmu — ma ta sztuka (oczywiście po dokonania odpowiednich skrótów) pierwszorzędne warunki powodzenia scenicznego. Wartoby się więc dowiedzieć, jakie to uboczne względy powodują, iż teatr krakowski dotąd nie pomyślał o wystawieniu tej nagrodzonej przez siebie sztuki. Zdaje się, iż zostanie ubiegnięty przez warszawskie i poznańskie teatry. Szkoda i wstyd.

Kraków.

RAJMUND BERGEL

LIBERUM VETO

Katechizm polityczno-społeczny w broszurze P. Drzewieckiego.— My sprzedajemy swoje bogactwa przyrodzone a kupujemy cudzą pracę. — Najpowszechniejszy program.

KTOŚ w mowie żegnającej p. Bartla powiedział: „Polska jest obecnie podziwiana pod względem umiejętności rządzenia". Jeżeli ten *vivat* zdumiewający swą odwagą, czy naiwnością, usłyszały obie półkule ziemi, to z pewnością buchnęły śmiechem, my zaś spuściliśmy oczy z głębokiem westchnieniem. Takiem westchnieniem, połączonem z życzliwą radą jest broszura p. P. Drzewieckiego, b. prezydenta Warszawy, p. t. „Polska na progu dziesięciolecia". Należy ona do tych kropel, które, według przysłowia łacińskiego, drążą kamienie. Spadały one i spadają ciągle z wielu źródeł, a i sam autor, prezes Ligi Pracy i jeden z najczynniejszych członków instytutu Naukowej Organizacji, piórem i słowem wypowiadał te uwagi, które obecnie zawarł w swem nowem piśmie. Stanowią one rodzaj katechizmu społeczno-politycznego, którego przykazania i dogmaty trzeba ciągle powtarzać, ażeby ludzie nie przestali stosować ich w życiu. Zebrane w jedną całość, malują wyraziście obraz dziesięciolecia niepodległej Polski, któremu przyjrzeć się warto i należy.

Według geografa angielskiego Taylora, Polska zajmuje trzecie miejsce w Europie, a szóste w świecie pod względem pomyślności warunków przyrodzonych dla rozwoju gospodarczego. Jednocześnie posiada liczną ludność zdolną do pracy. Tymczasem stan gospodarczy przedstawia się inaczej. Dochód średni w budżecie społecznym na głowę ludności: w Ameryce półn. 4300 zł., w Niemczech 1700, w Polsce *666*; wydatki na wyżywienie: 1505 — 850 — *466*, świadczenia publiczne: 890 — 450 — *109*, reszta: 1905 — 409 — *91*. „Cyfry tej tablicy — mówi p. D. — uwidoczniają, jak dalece obywatel polski jest biedny, pomimo zamieszkania terytorjum bogato uposażonego przez przyrodę, i jak nędzna jest reszta, która mu pozostaje po opłaceniu wydatków na wyżywienie i świadczenia publiczne". W nawiasie zaznacza, jaką to pustą frazeologją — jeśli nie kuglarstwem statystycznem — są usprawiedliwiania każdej podwyżki ciężarów publicznych u nas porównaniem z obcemi. Amerykanin, mający dochodu rocznego 4,300 zł., zestawiany jest z Polakiem, którego dochód wynosi zaledwie 666 — czyli blisko 7 razy mniej. Prawie humorystyka, która jednak głoszona była z powagą przez niejednego ministra, a najzabawniej przez jednego z dyrektorów departamentu w ministerjum skarbu!

Wartość tonny naszego wywozu stanowi zaledwie piątą część przywozu, podczas gdy np. w Szwajcarji, która nie posiada surowców, zachodzi stosunek odwrotny, bo tam ludzie pracują i tam swoją pracę w przerobionych cudzych surowcach sprzedają całemu światu, my zaś sprzedajemy nasze naturalne zasoby a kupujemy cudzą pracę. To też głównem zadaniem naszej polityki gospodarczej powinno być uprzemysłowienie kraju a w tym zwrocie dokonanie zmiany najważniejszej — zwiększenie wydajności pracy, która u nas jest nadzwyczajnie mała, zarówno skutkiem słabego wysiłku, jak skutkiem ograniczenia jej czasu przepisami, liczbą świąt i urlopów. Dzięki temu demagogja wzlatuje coraz wyżej, a kraj spada kulturalnie coraz niżej. Nie można zaprzeczyć, że w ciągu dziesięciu lat niepodległości zrobiliśmy postęp w przemyśle i w technice życia. Ale w stosunku do potrzeb i zadań jest on jeszcze zbyt mały. P. Drzewiecki daje szereg wskazań praktycznych, między któremi uwydatniają się szczególnie dwa: podniesienie wydajności pracy i wyzwolenie się obywateli z pod opieki państwa. Rozrasta się u nas — mówi autor — wielce szkodliwa ideologja, iż państwo winno ulżyć wszelkim niedomaganiom każdego obywatela. Stąd popularność dla obowiązkowych ubezpieczeń społecznych, które rozwinęły się w Polsce szerzej i wcześniej niż w innych krajach. W Stanach Zjednoczonych niema ani stabilizacji stanowisk, ani zapewnienia gdziekolwiek i jakiegokolwiek zajęcia. Tymczasem w Polsce zwolnienie pracownika utrudnione jest licznemi przepisami, a pracownicy publiczni domagają się u nas stabilizacji, utrwalającej ich na stanowiskach bez względu na wydajność pracy. Innemi słowy: urzędnik leniwy, zaniedbujący się w spełnianiu swych obowiązków, nie może być usunięty od chwili, gdy został ustabilizowany, wmurowany w swoje stanowisko.

Ponad szczegółowemi zagadnieniami naszej polityki wewnętrznej stoi kwestja najogólniejsza i najważniejsza, mianowicie, że zarówno nasze społeczeństwo, jak wszystkie nasze rządy nie rozumieją i nie doceniają wagi spraw gospodarczych. Co prawda grzeszyliśmy tym błędem przez cały ciąg historji dzięki wyłącznemu udziałowi szlachty w życiu publicznem, gardzącej „łokciem i miarką". Pozostał więc w nas nałóg tego lekceważenia, który pod wpływem pouczających i bardzo smutnych doświadczeń już osłabł, ale jeszcze działa resztką nawyknień. Przysłuchując się naszym wnioskom, naradom i uchwałom sejmowym, preliminarzom budżetów, dekretom rządowym, wogóle całej robocie i wrzawie w warsztatach i organach zajętych tkaniną życia państwowego, dostrzegamy w nich rozmaite pobudki, cele, zabiegi, a najmniej dbałości o wzmocnienie sił gospodarczych. Wszystkie źródła tej energji — rolnictwo, przemysł, handel, samorządy, podatki, świadczenia przymusowe itd. — leżą gdzieś na pośledniem planie, stoją za drzwiami izb prawodawczych i rządów, daremnie dopominając się opieki, sprawiedliwości a nawet miłosierdzia. Z porządku dziennego nie schodzą zatargi o władzę, która jest głównym przedmiotem walki. Pytania: co robić, giną w pytaniach, kto ma rządzić i czerpać wolną ręką ze skarbu publicznego, napełnionego ciężkiemi ofiarami społeczeństwa przez bezwzględny fiskus. Nic nie wywołuje większego oporu, niż żądanie oszczędności. W oczach zagranicy wyglądamy jak tłum gołych i głodnych nędzarzów, którzy kłócą się zaciekle o panowanie i dary, zamiast się odziać i nakarmić. Amerykański dozorca naszej gospodarki finansowej jest człowiekiem ostrożnym, unikającym wtrącania się w wewnętrzne sprawy obcego państwa. To też ogłaszane w naszej prasie jego uwagi są bardzo wstrzemięźliwe i delikatne, chociaż przetkane lekkiemi napomnieniami. Ale bez ryzyka można przypuścić, że inaczej brzmią jego szczere i wolne od skrupułów sprawozdania, składane swoim rodakom. Bo trudno wyobrazić sobie bardziej rażące przeciwieństwo, niż Ameryka i Polska? To są literalnie dwa odmienne światy—stary i nowy, który u nas jest tylko nazwą jednej z ulic warszawskich. W duszy przeciętnego Polaka z pewnością najmocniej odzywa się głos życzeń: Włóżcie sobie na głowy wszystkie blaszane wieńce, a w ręce berła i buławy, ustrójcie się w boskie chmury lub monarsze płaszcze, przywłaszczcie sobie wszystkie tytuły mężów opatrznościowych, wodzów narodu, zbawców i zwycięzców niebywałych wojen, obwieście się orderami od stóp do głowy, wytnijcie dla siebie wszystkie gałęzie drzew wawrzynowych, tylko pozwólcie nam swobodnie żyć i owocnie pracować, bierzcie od nas daniny dla pań-

stwa, ale nie obdzierajcie nas z ostatnich groszy, nie tamujcie naszej energji przeszkodami i nie zawichrzajcie go bezprawiem. Mniej więcej takie prośby i życzenia usłyszeć można z miljonów ust, drżących smutkiem, ironią, lub gniewem. Jest to najpowszechniejszy program typowego obywatela polskiego, który już ogłuchł na hasła partyjne, na krzyki demagogiczne, na cały zgiełk jarmarku politycznego. Ma on tylko dwie miary do oceniania wartości charakterów, czynów i wypadków: rozumne czy głupie, uczciwe czy podłe. A pod jaką one szeregują się chorągwią — to mu jest obojętne.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

„KRZYWDY" NIEMIECKIE W POLSCE

(Na marginesie wniosku P. P. S. i sprawy w Opolu)

W ZWIĄZKU z wnioskami p. Schachta i sprawą niemieckiego barbaryństwa w Opolu warto zastanowić się chwilę nad ślepotą niektórych naszych „humanitarnych" polityków, rozczulających się na temat rzekomych „krzywd" i upośledzenia mniejszości, także niemieckiej, w naszem państwie. Posunięcia ich polityczne, zwłaszcza jeśli chodzi o mniejszość niemiecką, nabierają w chwili obecnej szczególnego posmaku i warto im nieco uwagi poświęcić.

Leży przed nami wniosek P. P. S. w sprawie szkolnictwa „mniejszości narodowych" i jego uzasadnienie, wygłoszone przez dr. Próchnika, socjalistycznego posła z Piotrkowa, które streszczono w obszernym referacie w n-rze 60 „Robotnika".

Dr. Próchnik imieniem P.P.S. stwierdza, że Niemcom w Polsce dzieje się krzywda na polu szkolnictwa. Tok jego rozumowania jest prosty: Niemcy stanowią 3,9% zaludnienia państwa; powinni mieć — wynika to z jego zestawień — 3,9% ogólnej ilości szkół, a mają ich tylko 1,6%. Są więc o 2,3% ilości szkół pokrzywdzeni. Do szkół niemieckich uczęszczać może zaledwie 70% niemieckich dzieci; reszta, t. j. 30% narażona jest na niebezpieczeństwo spolszczenia.

Jakiś Anglik, Grek, czy Kanadyjczyk łatwo uwierzyłby w rzeczywistość owej rzekomej „krzywdy" Niemców, zwłaszcza, że zapewnienie o niej wychodzi z ust posła na Sejm polski i z organu naczelnego P. P. S. Wartoby jednak osobiście zapytać p. posła Próchnika, ile też dzieci polskich, polskiego proletarjatu w mieście Piotrkowie, w czasach tych samych, wogóle szkoły nie miało, wogóle do żadnej szkoły uczęszczać nie mogło; dlaczego p. P. nie występował wówczas w obronie większości, nie posiadającej żadnej szkoły, choć prezesem Rady miejskiej był on sam, a prezydentem jego socjalistyczny przyjaciel. To są prawdopodobnie tajniki socjalistycznego magistratu w Piotrkowie.

Powróćmy jednak do liczb, stwierdzając, że człowiek, który ich używać i interpretować nie umie, nie powinien wogóle niemi operować, bo łatwo może przywilej i nadmiar uznać za brak i krzywdę, jak to właśnie uczynił dr. Próchnik i tow.

W rozumowaniu obrońców mniejszości narodowej niemieckiej w Polsce tkwią zasadnicze a bardzo szkodliwe wady. Przedewszystkiem zestawienie liczby ludności z liczbą „szkół". „Szkoła" jest jednostką organizacyjną nie jednolitą, bo posiada różny stopień organizacyjny od 1 do 7 klas; pod względem liczebności od 40 do 1000 dzieci. O wiele bliższe stanu faktycznego byłoby zestawienie ilości klas i ilości ludności, choć i to jest nader zawodne. Branie więc ilości „szkół" jest mieszaniem mechanicznem wartości zupełnie nierównorzędnych. Ciekawe w tem jest to, że ta niewłaściwa, kłamliwa metoda wychodzi na niekorzyść Polski.

W objaśnieniu „krzywdy" niemieckiej oprzemy się na stosunkach w województwie łódzkiem, najbliższem p. Próchnikowi, który stamtąd właśnie posłuje.

W wojew. łódzkiem w r. szk. 1925/6 było dzieci niemieckich ogółem 18.974, w wieku od 7 do 14 lat. Z tych dzieci uczęszczało 5372 do szkół 7-klasowych niemieckich, 1625 zaś do 7-klas. z językiem polskim i niemieckim. Z tego wynika, że dla trzeciej części ogółu dzieci niemieckich państwo daje szkoły najlepsze, najdroższe, o najlepszych siłach nauczycielskich. Do tak wysoko zorganizowanych szkół polskich, danych polskim dzieciom przez swoje państwo, uczęszcza stosunkowo, z powodu ich małej liczby, wiele, wiele razy mniejsza ich ilość. Szkoły polskie są na terenie wojew. łódzkiego małe, tanie, liche z powodu niskiego stopnia organizacji: na około 2 tysiące ich liczby ogólnej—1521 to maleńkie szkółki 1 i 2 klasowe. Do szkół 7 klas. uczęszcza tam dzieci polskich 16.685, a więc procent bardzo niski w stosunku do liczby 245.773 wogóle uczęszczających do szkół.

Państwo czyniące „krzywdę" Niemcom, daje najlepszą szkołę 30 Niemcom na stu, Polakom zaś tylko 8; Polakom 8,75 procent, Niemcom 17 procent ogólnej liczby.

Brak w Polsce dat statystycznych co do wydatków państwowych i samorządowych na dziecko w szkole powszechnej. Gdyby to dało się w przybliżeniu choćby zestawić, wynikłaby z tego nowa „krzywda", ale polska, już wybitnie zaznaczona w wyliczeniach poprzednich.

A teraz te 30 procent dzieci niemieckich, które swej szkoły wogóle nie mają. P. Próchnik nie zadał sobie trudu, biorąc pod uwagę „szkoły" ryczałtem, jako jednostki, aby wyliczyć, ile dzieci wypada na taką jednostkę; wyliczyłby wtedy, że na „szkołę" polską wypada 245, na niemiecką zaś 189. Może zresztą wyliczył, ale liczby pominął, bo byłyby one wykazaniem niemieckiego uprzywilejowania, nawet przy użyciu jego fatalnej metody.

Rachunek ten, przeprowadzony właściwie, zarumienić powinien czoło każdego Polaka wstydem, że znosić możemy wielką krzywdę dzieci naszych i trącące już czemś więcej niż lekkomyślnością wywody dra Próchnika i „Robotnika".

Szukajmy więc tych 30 procent dzieci niemieckich, nie posiadających swej szkoły.

Ludność polska mieszka w wojew. łódzkiem wszędzie zwartą masą; wśród niej Niemcy stanowią wyspę łódzką i kilkadziesiąt wysepek w pow. łódzkim, brzezińskim, konińskim i słupeckim, pozatem są oni rozproszeni na całym terenie województwa.

Przypadkiem możemy tu wyzyskać dane statystyczne z 1926/7 z tegoż terenu.

Cyfry te obejmują ilość dzieci niemieckich w tem województwie z dwu okresów szkolnych, t. j. urodzonych 1913—1925 r. (okres 14 letni).

Otóż mamy tam takich dzieci, które kolejno zapełniać mają szkoły aż do roku 1940 (liczba imigrantów i emigrantów nie zmieni tego stanu zasadniczo) — poza znanemi już skupieniami ludności niemieckiej, 43,664, rozrzuconych w 1484 miejscowościach, z których żadna nie ma ich więcej, niż 25. Cóż więc ma państwo robić z temi dziećmi niemieckiemi? Czy dla tych kilkorga tworzyć szkoły i „ratować" tych kilka tysięcy dzieci niemieckich od spolszczenia, gdy w tymże roku na terenie województwa łódzkiego nie mogło iść do szkoły przeszło 25 tys. dzieci polskich, z czego około tysiąca

w samym Piotkowie, gdzie rządzi P. P. S. i gdzie poseł dr. Próchnik był prezesem Rady Miejskiej?

Jakże znów wobec tego wygląda „krzywdzącą“ Niemców cyfra 30 proc. dzieci, nie mogących uczęszczać do szkoły narodowej? Dzieci z tych 1484 miejscowości nie mogą wprost wchodzić w rachubę przy jakiejkolwiek kombinacji, wypracowywaniu sieci szkolnej i t. p. Tu i ówdzie można wprawdzie łączyć dzieci z kilku wsi w jeden komplet szkolny, ale taka szkoła, ze względu na warunki zewnętrzne, posiadać będzie zawsze bardzo małą wartość.

Na podstawie doświadczenia ta ilość dzieci niemieckich, urodzonych w latach 1913—1925, przynależnych — (oczywiście często teoretycznie) do dwu po sobie następujących okresów szkolnych po 7 lat, da się ściągnąć w tej chwili do cyfry mniej więcej 9—10 tysięcy— obecnie, w tym roku podlegających przymusowi szkolnemu. Tu wziąć trzeba pod uwagę dużą śmiertelność dzieci najmłodszych, odpływ 3 najstarszych roczników do niższych klas gimnazjalnych i t. p.

Tych kilka tysięcy dzieci, dla których żaden naród, żadne państwo na świecie szkoły powszechnej nie dałoby osobnej, narodowej, lecz włączyłoby je do szkoły „większościowej“, to jest w stosunkach łódzkich tak „krzywdząca“ Niemców cyfra 30 proc. dzieci, zmuszonych uczęszczać do szkoły państwowej.

Gdyby p. Próchnik i tu, w tym wypadku, poszedł swą metodą zestawienia ilości „szkół“ i ilości ludności, to przy uwzględnieniu fizycznych czysto możliwości wcielania dzieci do szkół i ich uczęszczania, wypadłoby na szkołę polską w wojew. łódzkiem 245 dzieci, na niemiecką zaś 90. Z tego widać jasno lekkomyślność P. P. S. w posługiwaniu się cyframi, jaka polega na bijących w oczy ustawieniach cyfr, które przy zanalizowaniu dadzą wprost przeciwny — zamierzonemu — rezultat.

Uzasadnienie wniosku P. P. S. rwie się w strzępy i daje pewne i kategoryczne podstawy do wniosku „o ochronie polskiej większości w Polsce na terenie szkolnictwa powszechnego“.

Wniosek taki, w chwili obecnej byłby aktualny.

...l

„ZNAKOMITY“ I „ZNANY“ PUBLICYSTA

PARĘ tygodni temu „Świat“, witając p. Leona Chrzanowskiego, który został następcą p. majora Libickiego w M. S. Zagr., nazwał go „znakomitym“ publicystą; w tym samym czasie „Tygodnik Ilustrowany“, bardziej umiarkowany, nazwał go tylko „znanym“. Obydwa pisma mają słuszność, p. Chrzanowski bowiem jest „znanym“ i „znakomitym“, chociaż nie jest publicystą, lecz korespondentem „Pata“.

A teraz parę szczegółów o tem, w jaki sposób p. L. Chrzanowski stał się „znakomitym“ i „znanym“. Oto jak: p. Chrz. jako korespondent „Pata“ w Rzymie, w depeszach swoich, a nieraz w korespondencjach do „Kurjera Warszawskiego“ bardzo misternie „podważał“ rząd Mussoliniego w opinji naszego społeczeństwa. Był taki moment, że wydało mu się, iż rząd ten ma się ku końcowi, o czem nawet w specjalnym memorjale „ostrzegał“ rząd polski, co już nie należało do kompetencyj oraz obowiązków przedstawiciela „Pata“.

Tego rodzaju gorliwość ze strony p. Chrzanowskiego, naraziła go na małą przykrość, zagrożono mu bowiem w Rzymie, że zostanie odstawiony „ciupasem“ do granicy włoskiej. Taki „koniec epopei“ nie bardzo mu się uśmiechał, kręcił się więc długi czas na wszystkie strony, zabiegał i przymilał się, aż doczekał się sprzyjających okoliczności, które go wydobyły z matni.

To go przekonało do rządów Mussoliniego i odtąd stał się jego wielbicielem... Z tego głównie jest „znanym“ i „znakomitym“ w Italji, w Polsce natomiast dał się poznać dopiero, gdy nawet „Kurjera Warszawskiego“, w którym przez szereg lat współpracował, głównie z pożytkiem dla siebie samego, nie uznał za pismo, z którem szanujący się szef biura prasowego M.S.Z. może utrzymywać stosunki, na pierwszą bowiem konferencję prasową zaprosił tylko pisma „sanacyjne“.

Takim oto jest „znakomity publicysta“ ze „Świata“...

WYCHOWANIE NARODOWE

O POLITYCE OŚWIATOWEJ I WYCHOWAWCZEJ

WRACAMY do omawianego już programu min. Świtalskiego, (ob. nr. 21) mianowicie przyjrzymy się sformułowaniu celu wychowawczego, jaki b. min. oświaty nakreślił był po raz pierwszy na Zjeździe Związku P. Naucz. Szkół Powszechnych a następnie powtórzył kuratorom:

„Do roku 1918 przeważał jeden ideał wychowania obywatelskiego. Byliśmy narażeni wszędzie w mniejszym lub większym stopniu na wynarodowienie. Czuliśmy to niebezpieczeństwo i dlatego pierwszą troską każdego nieledwie wychowawcy było, by szkoła polska nauczyła kochać to, co jest polskie. Chcieliśmy wypuszczać ze szkół na świat obywateli, którzy z tą zaszczepioną w możliwie jak największej dawce miłością do wszystkiego, co polskie, mogli okazać się odpornymi aż do grobowej deski na wszystkie miazmaty, na wszystkie zarazy obcości. Było to szerzenie, że się tak wyrażę, miłości platonicznej do Polski (!?). Apelując do uczuć i do sentymentów, liczono drgnienia serc dziecięcych na nutę patrjotyzmu i w bardzo wielu wypadkach do tego się ograniczano i na tem kończono“.

Oczom trudno uwierzyć, czytając ten ustęp! Jakto, więc ta uparta, zacięta walka o wszystko to, co teraz w państwie niepodległem mamy jako rzecz oczywistą, walka o ziemię, o mowę, o wiarę, o dusze dzieci, o oświecenie i uświadomienie narodowe ludu, — walka okupywana ciężkiemi ofiarami, toczona na każdym kroku w życiu publicznem i prywatnem—wszystko to były objawy miłości platonicznej?! Gdzie znajdował się wówczas mówca? jakiem żył życiem? Nawet obcy, zastanawiając się nad faktem przetrwania życia narodu mimo przeszło stuletniej niewoli — nie mógłby w to uwierzyć. A jednak z takiego założenia wychodzi polski minister oświaty—i tak ciągnie dalej:

„Zdobycie Państwa nałożyło obowiązek wychowywania typu obywatelskiego o szerszej podstawie moralnej. Umiłowanie bezwolne nie może wystarczyć. Trzeba koniecznie kształcić miłość, która nie jest tylko sentymentem, nie jest tylko wzruszeniem serca, nie jest tylko łzą, czy radością zachwytu, ale która umie się zamieniać bez załamań się, w sposób nieledwie mechaniczny (?) na czynnik woli. Trzeba umieć wychowywać ludzi, w których z miłości natychmiast (?) wynika praca“.

„Przeżywaliśmy i przeżywamy do dzisiejszego dnia olbrzymi kryzys moralny w naszej polityce oświatowej, — przedewszystkiem dlatego, że ci, którzy uczą, należą do pokolenia zrodzonego w niewoli, pokolenia, nasiąkniętego w olbrzymim stopniu właśnie tem bezwolnem umiłowaniem — a mamy kształcić pokolenia zrodzone w wolności, które inne muszą wziąć na siebie ciężary i które żyjąc wśród wolnej Polski, mniej z natury rzeczy stają się zdolne do wzruszeń, hodowanych w niewoli i w tęsknocie do wolności. Z tego kryzysu, który nam narzuciła historja, nie prędko jeszcze wyjdziemy — ale naszym obowiązkiem jest przyśpieszyć ten proces przemiany obywatela tęskniącego do wolności, na obywatela, który w tej wolności żyć umie i tę wolność utrwalać potrafi“.

Pozostawiamy osobom kompetentnym rozpatrzenie naukowych walorów tych psychologicznych koncepcyj p. mi-

nistra—w jakim stopniu przekształcenie duszy jest możliwe i jak nasz charakter narodowy dziś właściwie wygląda, w jakim stosunku wzajemnym znajdują się uczucie i wola; czy „mechaniczna wola" nie stanowi przypadkiem *contradictio in adiecto*, o ile nie ma być eufemicznem omówieniem zakazywanej przez cenzurę nazwy paranoi; czy „fascynowanie młodzieży ideałami ludzi" może prowadzić do wytworzenia silnych i niezależnych charakterów, jakich nam w tej chwili najbardziej potrzeba. Wystarczy mi tu zwrócenie uwagi na historyczną błędność jego punktu wyjścia, który wyżej przytoczyłem. Założenie to rozwinął p. minister jeszcze w innym kierunku, przybywszy dnia 4 kwietnia, jako gość, na Walny Zjazd T. N. S. W. w Warszawie *).

Przemawiając w chwili rozpoczęcia Zjazdu do licznie zgromadzonych delegatów i gości, nicią przewodnią swej mowy powitalnej uczynił myśl, że nauczyciele, którzy uczyli w czasach niewoli, chcieli obok miłości do wszystkiego, co polskie, wzbudzić nienawiść do wszystkiego, co obce:

„W czasach tych, w których na czynną wiarę w niepodległość zdobywało się tak niewielu, kiedy wolność Ojczyzny istniała w marzeniach tylko, miłość do tego, co polskie, stawała się jakże często umiłowaniem bezwolnem, nienawiść do najeźdźców była bezwolną pasją, a niezadowolenie z ówczesnych stosunków zamieniało się w bezwolne zrzędzenie".

W dalszym ciągu p. minister zarzucał nauczycielstwu, że ten stosunek uczuciowy do państwa zaborczego przenosi na państwo własne oraz na współobywateli:

„Nienawiść do tego wszystkiego, co obce, miała ongiś w polskiej racji stanu, zastosowanej do wychowania, swoje dobre uzasadnienie, gdy chodziło o nienawiść do zaborców. Ale dziś, gdy zaborców na naszej ziemi niema, rozmieniamy nieraz tę ongiś wielką nienawiść do ciemiężców na kultywowanie niechęci, czy odrazy, czy pogardy dla współobywateli jednego Państwa i to Państwa właśnie naszego (por. „Głos Prawdy", uwaga autora). Powiedziećby się nieraz chciało, że to są nienawiści niegodne wielkiego narodu (!). Jest w nich jakaś małość wiary w siłę Państwa, które aż do nienawiści musi apelować, by się przed kimś rzekomo realnie i poważnie nam grożącym bronić... Ale co, proszę Panów, w tym anachronistycznym i skarykaturowanym nacjonaliźmie jest dla mnie najbardziej wrogie, to właśnie to, że te małe nienawiści są znowu bezwolne, że z nich nic nie wynika, a gdyby, co nie daj Boże, miało coś wynikać, to byłoby to przecież podkładanie ognia pożogi i zamieszek pod swój własny gmach państwowy"...

Nauczyciele zgorzkniali zatruwają dusze młodzieży:

„Z moich ułamkowych wrażeń, jako ministra oświaty, doszedłem do przekonania, że nie tyle słowa, które padają z ust waszych, ile ton i melodja, w których te słowa Panowie rzucacie.

„Czynnika woli Panowie bez promiennej radości nie wydobędziecie. W psychicznych kazamatach jęków, postękiwań i ubolewań ani piąstki, ani pięści się nie ściskają. I choćby niewiadomo ile głupich żartów ukuto sobie na temat radosnej twórczości, spłyną te niewczesne kpinki, jak po szkle i radzę (!) Panom być chorążymi tej radości. Gdy wrócicie do swych klas, chciałbym (!), by w melodjach waszych słów coraz mniej było trącania w strunę, co jest jak syk węża, jak zgrzyt żelaza po szkle (por. koncert Jankiela: Targowica) by tego targania akordów niewoli, mimowoli tkwiących w nas wszystkich, nie było"...

P. minister „radzi" zatem, żeby każdy nauczyciel był wiecznie uśmiechniętym „solenizantem"—nawet gdy czyta, że naród, do którego należy, jest narodem idjotów, tchórzów, którego ministrowie trwonią na hulanki „wesołe budżety", którego przedstawiciele są zdrajcami, sprzedawczykami, łotrami...

J. KOWALSKI

*) Patrz „Przegląd Pedagogiczny", nr. 14—15, z dnia 27-go 1929 r. str. 325.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Dzieło ks. bisk. Bougaud'a „Jezus Chrystus" ukazało się w II wydaniu (nakład Księgarni św. Wojciecha).

Mimo licznych i uczonych apologij, opartych na najnowszych odkryciach i dociekaniach, dzieło biskupa z Laval, wydane dość dawno, nie straciło bynajmniej na świeżości. Przemawia ono do przekonania nietyle konstrukcją naukową, ile plastyką niezwykłą i misterną subtelnością, zdolną poruszyć umysł i serce. Autor w wywody wdaje się tylko z początku, ustalając całkowitą wiarogodność ewangelij. Natomiast w życiorysie Jezusa usuwa się jakby w cień, daje w miejsce swego stylu i toku opowiadania, przeważnie treść zaczerpniętą wprost z ewangelij. W ten sposób prawda zachowuje blask naturalny, a miasto sztucznej literackości, gra barw pierwotnych uderza życiem, harmonją i pięknem.

*

Dwutomowa „Psychologja" prof. Wł. Witwickiego zyskała sobie wielką wziętość i uznanie, zarówno dzięki obfitości zawartych w niej szczegółów, jak i przez sposób wykładu przystępny, jasny i barwny, ożywiony często swadą i humorem; pociąga też czytelnika bogata szata ilustracyjna tej książki, wykonana przez samego autora, który z zawodu swego był niegdyś malarzem. Te same cechy i zalety ma świeżo wydany „Zarys psychologji" tegoż autora, mający cele nieco skromniejsze, bo przeznaczony na podręcznik dla uczniów szkół średnich i seminarjów nauczycielskich (wyd. „Książnica-Atlas") Brak takiego podręcznika dawał się odczuć oddawna, gdyż przedwojenne podręczniki (Pechnika i in.) były wobec postępu dzisiejszej wiedzy psychologicznej przestarzałe, a podręcznik Höflera, przetłumaczony z niemieckiego, raził swą suchością, niekiedy nawet barbaryzmami językowemi. Podręcznik cały ułożony jest przejrzyście; po wyjaśnieniu różnic między światem psychicznym a fizycznym autor zajmuje się przeglądem zjawisk psychicznych i wrażeń zmysłowych, spostrzeżeń, pamięci, fantazji, myślenia, uczuć, wreszcie objawów woli. Każdy wykład wzbogacają liczne i ciekawe przykłady, brane bądź z życia bądź z literatury polskiej i światowej.

*

„Juści, nie straszne temu żadne ludzkie trafy, kto widział morze — gdy się nawałnicą wzdyma — i podwodne potwory i zdradzieckie rafy — a na wszystko suchemi spoglądał oczyma!—pisał przed wiekami Horacjusz, a że miał rację stary poeta (choć, prawdę mówiąc, był-ci on zawsze tchórzem podszyty), możemy się przekonać, czytając książkę F. A. Mitchella Hedgera „Polowanie na potwory morskie". Polowanie, nie połów, bo z „grubych ryb" można się śmiać tylko na scenie, a na morzu z niemi niemasz żartów! Te rekiny, piły, młoty i jak się tam jeszcze ta „raje" (iście bolszewickie, nawet z emblematów!) nazywają, te krwawe bestje, z któremi nie zwykłą wędką, ale ostrą bronią potykać się trzeba, autor słusznie przyrównywa je do potworów, które zamieszkiwały naszą planetę przed potopem — a nawet przypuszcza, że tam kędyś w niezbadanej dotąd głębi oceanu kryć się mogą jeszcze po dziś dzień niedobitki owych rybojaszczurów. Wyprawa, opisana przez Hedgesa, miała cele naukowe i wzbogaciła muzea amerykańskie obfitą a ciekawą zdobyczą, w znacznej części reprodukowaną w ilustracjach, załączonych do książki — bez tych namacalnych dowodów możnaby rzecz całą poczytać za powieść, tyle w niej barwności i żywości, tyle niezwykłych zdarzeń i przygód. Czytelnikom polskim książkę tę (wydaną nakł. Wydawnictwa Polskiego w Poznaniu) udostępnił znany powieściopisarz-marynista, J. B. Rychliński zapomocą pięknego i poprawnego przekładu.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W zbiorze „*Grands Coeurs*" wychodzi niezmiernie ciekawa pod każdym względem biografja wielkiego Turenne, zadedykowana zmarłemu Marszałkowi Foch'owi. Jej autorem jest jenerał Weygand. W swojem przedstawieniu wypadków i charakterów ludzkich, unika on wszelkich łatwych efektów. Vicomte de Turenne, drugi z rzędu syn księżnej de Bouillon, mając lat 19, wstępuje na służbę Ludwika XIII dla zabezpieczenia interesów swojej rodziny. Autor, kreśląc kolejne etapy życia tego bohatera, wielkiego żołnierza, dbałego o swe wojsko, ale i człowieka, posiadającego wysokie zalety duchowe, kładzie nacisk na fakt, że dzięki tym ostatnim będzie on wywierał tak wielki wpływ na swe otoczenie. Jedną z najbardziej znamiennych cech jego charakteru była nadzwyczajna harmonja umysłu, czyniąca zeń istotę zrównoważoną. W jednym z rozdziałów, analizujących trudności, jakie miał Turenne z ministrem Louvois w czasie wojny holenderskiej, jenerał Weygand z nadzwyczaj jasnym sądem omawia kwestję, niedawno także poruszaną w nawiązaniu do ostatniej wojny, a mianowicie kwestję, jaki powinien być stosunek rządu do naczelnego dowództwa. Formułuje go w ten sposób:

Każdy ma swoje zadanie do spełnienia. Rządowi przypada przywilej ustalania zapomocą instrukcyj rezultatów, jakie pragnie osiągnąć; zadaniem zaś szefa wojskowego jest zastosowanie się do tych instrukcyj i straszliwy honor działania z całą odpowiedzialnością, ale również i z całą inicjatywą, potrzebną do osiągnięcia zwycięstwa. Turenne był również nowatorem w dziedzinie strategji, albowiem w epoce, w której praktykowano wyłącznie wojnę zapomocą oblężenia, stara się on przeistoczyć ją w zręcznie skombinowane walki. Cały szereg reguł taktyki wojskowej, konstatuje jenerał Weygand, mógłby być jeszcze i obecnie zastosowany. Ale we Francji nie zużytkowano doświadczeń tego wielkiego wodza aż do czasów Napoleona, podczas gdy zostały one wyzyskane przez cudzoziemców. Często bowiem, pisze jenerał Weygand, po szczęśliwej wojnie, zwycięsca zasypia w mylnem przekonaniu o swojej wyższości, podczas gdy przeciwnik, usiłując zrozumieć przyczyny swej klęski, pracuje nad podniesieniem się z niej; w ten to sposób zwyciężony w przeddzień, staje się zwycięską nazajutrz. „Po Blenheim nastąpił Rossbach; po Jenie—Sedan; po Sedanie — Rethondes; obyśmy o tem nie zapomnieli“.

*

Dużo ciekawych informacyj o życiu w Rosji sowieckiej przynosi książka p. Józefa Donillet'a p. t. „*Moscou sans voiles*“. (Editions „Spes“). Autor był konsulem belgijskim w Rosji przez lat 26, za czasów sowieckich zaś przedstawicielem kilku instytucyj, zajmujących się niesieniem pomocy głodnym. Zna Rosję bardzo dobrze, dużo widział i umiał patrzeć. Opisuje życie w miastach i na wsi, przedstawia gospodarstwo sowieckie, administrację i metody rządzenia. Sąd wydaje o rządach bolszewickich bardzo ujemny. Nie analizuje głębiej ani przyczyn, ani istoty bolszewizmu, podaje jednak fakty, które pozwalają na wyrobienie sobie pojęcia o życiu rosyjskiem w chwili obecnej.

*

P. Georges Goyau zajmuje się od kilku lat historją zakonów, wykazując w swoich pracach ich wielką działalność i pomoc w ekspansji kolonjalnej Francji. Napisał on już specjalne studjum o „*Cardinal Lavigerie*“ i „*Monseigneur Augouard*“. Obecnie zaś p. Georges Goyau wydaje u Plon'a niezmiernie ciekawą pracę p. t. „*Un grand „homme“. Mère Javouhey*“. Anne—Marie Javouhey, córka rolnika, urodzona w Burgundji, dostała się do Gujany i stała się tam z biegiem czasu nietylko obrończynią praw murzynów, ale prawdziwym ich apostołem, przyczyniając się również do uwolnienia ich z niewolnictwa. Powołanie do tego wielkiego dzieła przeszczepi ona w serca swych trzech sióstr i założy zakon Sióstr św. Józefa, który ich dzisiaj liczy powyżej 4.000. Autor, pociągnięty postacią Matki Javouhey, łączącej w swoim charakterze ogromną energję i inteligencję, a pełną niezłomnej wiary, odtworzy nam w sposób niezmiernie interesujący jej życie. Podkreśla on, że jej praca przekracza ramy historji wyłącznie religijnej, albowiem równocześnie promieniowanie jej idej odbiło się i na życiu społecznem i na przyszłych losach całej rasy. Król Ludwik—Filip nazywał Matkę Javouhey „*Un grand homme*“, a p. Georges Goyau w swojem studjum wykazuje, jak potrafiła ona w swojej działalności zjednoczyć ideę religji z ideą Ojczyzny, stając się istotnie „wielką Francuzką“.

*

Jeżeli ludność Francji wynosi obecnie tylko około 40 miljonów mieszkańców, to jednakowoż nie należy zapominać, iż państwo to posiada prawdziwe imperjum kolonjalne, w którem żyje 100 miljonów ludzi. Ta ekspanja kolonjalna i cywilizacyjna Francji jest w sposób bardzo pouczający przedstawiona w książce p. t. „*Empire colonial français*“ (Plon édit.), do której wstęp napisał p. Gabriel Hanotaux, znany historyk i członek Akademji francuskiej. Na książkę te składa się cały szereg studjów, napisanych przez wybitnych pisarzy, a każde z nich traktuje osobno daną kolonję, jej bogactwa oraz rolę kulturalną Francji, która w ten sposób zorganizowała nazewnątrz prawdziwą siłę cywilizacyjną.

TEATR

„ROZUM I GŁUPSTWO“

WŁODZIMIERZ Perzyński należy do generacji z końca XIX w., która nie gniewała się za nazwę „schyłkowców“. Niepospolity talent poetycki, wsławiony lirykami (1902), podobny był z postawy swojej wobec świata do mistrza Kazimierza Tetmajera. Rozeszli się z Krakowa: ten poszedł górą na Tatry, ten doliną do mazowieckiej Warszawy. Tetmajer odnalazł nadludzi w góralskiej legendzie Tatr, Perzyński — podludzi na bruku warszawskim. Tamtemu przypadł epos, temu komedja. Pisali obaj na „białej karcie“ swojej duszy, zupełnie wolni od ideałów osobistych i społecznych. Taki był wiek — tych „z końca wieku“. Niepodobna w tym stanie być lirykiem, więc rychło Perzyński schował się wewnątrz ze swoim sceptycyzmem i skądś, jak z peryskopu, obserwuje życie warszawskie nizinne, domowo-towarzyskie. Defekty wychowania w atmosferze Młodej Polski skazują go na ten ciasny widnokrąg, nie pozwalając na chwilę odetchnąć całą piersią w atmosferze życia szerszego, historycznego.

Typową — rzekłbym — jubileuszową dla niego komedją jest wystawiona teraz w Teatrze Polskim pt. „Rozum i głupstwo“. Fachowa krytyka teatralna ogląda sztukę, jak konia na jarmarku, badając zęby i pęciny ze stanowiska rzemiosła scenicznego. Perzyński jest artystą zbyt rasowym, aby egzaminu takiego nie zdał. Sztuka zbudowana jest dobrze, może nierówno jest wypełniona materją poetycką, ale są w niej momenty wybuchowe talentu, które brak ten i ów okupują z nawiązką. Nie o budowę jednak tylko chodzi. Należy się wejrzenie w osobistość i stosunek jej do pomysłu: czego też szukał autor w środowisku, co go zajmowało?

Kto pod tym kątem ucho i oko nastawił, ten odczuć musiał dreszcz liryczny w samem założeniu. Autor wyciągnął konsekwencję z popularnej w sferach ocierających się o sztukę klasyfikacji. Ciągle się słyszy w tym świecie: to rozum, tamto głupstwo, to życie na serjo — tamto na niby. Świat pojęć i ustosunkowań rozpada się na realny i chimeryczny. W pierwszym jest pieniądz, w drugim jakiś oderwany ideał niepopłatny. Tutaj praktyczny rozum, tam głupkowata — choć nieraz ładna — abnegacja z pożytku na rzecz jakiejś wartości absolutnej. Słodka proza i gorzka poezja. Tu dyrektor banku, tam muzyk z restauracji. Perzyński objął wzrokiem te dwa bieguny razem: dyrektor banku i grajek. O takie złączenie nie trudno, bo w życiu burżuazyjnem styka się to codzień: dyrektor banku przy szampanie, a tuż obok grajek przy pianinie. Bywalec restauracyj nie zastanawia się nad tym ironicznym faktem życia towarzyskiego, ale poeta Perzyński to widzi.

Bo nie jest to zupełnie proste zestawienie. Krańcowo tak: tu użycie dolarowe, gaszenie zgagi żądz szampanem, a tutaj obok — kto wie — płonie dusza tęsknotą nieśmiertelności. Kto wie, bo *spiritus flat*... Życie zaciera te ostre przeciwieństwa i dlatego się ich nie spostrzega. Świat dolara wychowywał się zamłodu w legendzie o ideałach nieuchwytnych, żony panów dolarowych bawią się sztuką, nieraz były same „artystkami“, ale dla wygody sprzedały się ludziom dolarowym. „Rozum“ często żeni się z „głupstwem“ w łonie samej sztuki, gdy ta staje się tylko zarobkowem rzemiosłem.

Perzyński zamarkował postaciami komedji różne odmiany tych połączeń (wiolonczelista, aktorka), rodzących kabotyństwo. Perzyński nie jest naiwny, a zbyt jest podejrzliwy, aby coś brał za złoto, dlatego że się świeci. Siedząc do białego rana przy szampanie z panem dolarowym, który mu wypłakuje w kamizelkę, że zabił w sobie poetę, którym był w młodości, ale zdaje mu się, że go niedobił, bo jeszcze dziś zrywa się w nim tęsknota, tak, że gotów jest teraz służyć sztuce jako mecenas — dolarami; to nawet wtedy, nad ranem Perzyński go przenika, że to fałsz, że to kabotynizm zapędzony w głąb duszy, z potrzeby grania przed sobą, że tam śladu Farysa niema, że to jedynie dowód, jak surogaty towarzyskie sztuki krążą wśród ludzi nieprzetrawione przez kulturę i służą tylko do zabawy. Perzyński wypija do dna szampana, ale na dnie kielicha widzi prawdę; podczas gdy jego „rozumny“ towarzysz nawet na dnie nic krom fałszu nie zdolen widzieć.

Perzyński złośliwie wtrąca dyrektora banku na drogę realizowania jego sentymentu dla sztuki. Talent oddanego mu pod opieką artysty w jego ręku marnieje,

wychodzi on na tej opiece tak, jak wytwórczość prywatna na etatyzacji. Pokazuje, że świat dolarowego rozumu, interesujący się sztuką czynnie, jak dla sztuki plagą, bo ten świat nie może mieć właściwego poczucia, czem jest wolna twórczość. I tu tkwi właściwa teza komedji, że w twórczości wszystkiem jest talent, który dokonywa cudów, gdy zostawiony jest sobie, swobodnemu obieraniu dróg, swojej naiwności życiowej, swemu „głupstwu". Nie zabije go rzemiosło w restauracji, natomiast zamorduje tresura nawet życzliwa.

Perzyński stwierdza dodatkowo, że talent, pomimo swej śmiesznej nieraz i pogardzanej głupoty życiowej—ma w sobie dla świata trzeźwego wiele pociągającego uroku, zwłaszcza dla kobiet, które są naturalnemi protektorkami artystów, zwykle zmysłowych i naiwnych, podczas gdy ludzie kalkulu niszczą talenty, stosując do nich swoją metodę „rozumu".

Perzyński boi się linij prostych, aby—broń Boże—nie zgrzeszyć patosem, ckliwością lub szablonem, nie da więc nigdzie światła bez plamy, prawdy—bez znaku zapytania. I tu więc, wprowadzając wielką miłość ze strony dziewczyny, która wybawia artystę z niewoli świata dolarowego, zaznacza z naciskiem, że panna jest zamożna, aby był cień: kto go wie, tego artystę, czy go panna na to właśnie nie wzięła?

Perzyński właściwie w nic i nikomu nie wierzy. Jedyna wiara jego życia—to w ów pierwiastek irracjonalny talentu, któremu zawdzięcza swoje własne radości i smutki. Ta wiara, dająca komedji Perzyńskiego lekkie zabarwienie uczuciowe, zobowiązuje krytykę do baczniejszego przyjrzenia się dziełu.

Wypadło ono dobrze na scenie. Rola utalentowanego grajka będzie w każdym teatrze momentem ryzyka ze względu na brak artystów młodych, którzyby ją odczuli głębiej. Wszakże p. Daczyński zrobił co mógł. P. Stanisławski, dźwigający ciężar sztuki, pp. Kamińska i Romanówna, oraz p. Staszewski zasługują na poklask. Dekoracje bardzo dobre. Z. W.

DWA LISTY ANTOINE BOURDELLE'A

Od prof. uniw. poznańskiego. posła Stefana Dąbrowskiego otrzymaliśmy z prawem ogłoszenia dwa sympatyczne listy znakomitego artysty francuskiego Bourdelle'a, który dziełem swojem, wzniesionem w Paryżu na chwałę Mickiewicza i Polski, zjednał sobie wieczną wdzięczność narodu polskiego. Dajemy je bez przeróbek i komentarzy.

4.I. 1927
6. Aleja du Maine
Paryż

Drogi przyjacielu i drogi Ministrze [1]),

Oto wykończam pomnik Polsce i Adamowi Mickiewiczowi, który, cały z bronzu, zostanie wzniesiony na placu de l'Alma w Paryżu.

Wyczyniam niemożliwości, żeby największą część monumentu wystawić (w bronzie) w najbliższym Salonie de la Porte Maillot, czyli w t. zw. Salonie Tuilleryjskim.

Będzie więc nareszcie w Paryżu kawałek ziemi z pomnikiem polskim. Do tego, do wzniesienia tego symbolu, wzdycham od tylu lat i dziękuję Panu, że mi Pan pomagał z całego serca w ziszczeniu tego. Byłoby rzeczą historycznie wielką, gdyby — ponieważ istnieje odlew gipsowy — bronzowa replika stanęła na jednym z placów polskich. Byłby to węzeł całkowitszy.

[1]) Prof. Stefan Dąbrowski był w r. 1919-20 wiceministrem spraw zagranicznych.

Ze względu na wartość rzeźbiarską i architektoniczną monumentu nie mogłem go stworzyć pośpiesznie. Taki symbol musi być opracowany wszystkiemi siłami duszy i z całą starannością kunsztu.

Kończę tedy wielki model i spodziewam się, że największą część wystawię w maju 1927 w Salonie (de la porte Maillot).

Kiedy jeździłem do Warszawy, aby wybrać rzeźbiarza monumentu Chopina, uderzyły mnie sylwetki niektórych Polek z ludu, owinięte w chusty, z których wynurzało się małe dziecko.

Chciałbym mieć dokumenty tego, aby wykonać na jednej z wypukłorzeźb podstawy jedną z trzech Polsk wyzwolonych. Gdzieby można znaleźć takie dokumenty?

Składam tu panu, drogi Ministrze i Przyjacielu, jak również pańskim bliskim i całej Polsce najgorętsze życzenia pomyślności

Antoine Bourdelle.

6 marca 1929

Drogi i wielki Przyjacielu,

Jeden z parlamentarzystów polskich mógł przyjść obejrzeć w moich pracowniach, następnie zaś u bronzownika pomnik Polski w rękach robotników, gisera, formiarzy i cyzelerów. Widząc na warsztacie wszystkie gotowe przekroje zobaczyłem jasno, że wzniesienie w jednem z miast polskich repliki byłoby najlepszem świadectwem węzła moralnego, kulturalnego i politycznego z Francją.

Zapewne zdążymy to zrobić potem, ale będziemy musieli powtórnie demontować gips, który zachowam w całości, a który ma teraz wszystkie przekroje potrzebne do odlewu w bronzie. Przekroje te później trzeba będzie robić na nowo.

Nigdy nie potrafię panu odpłacić równą wartością pańskich myśli, pańskiego poparcia, pańskiej pomocy przy realizowaniu Monumentu polskiego w Paryżu i pańskiego apostolstwa dla M. Alzackiej. Ale ileż jestem panu wdzięczny. Mała grupa, [2]) która przypomina Panu pańskie dziecko, jest z mojej strony odwzajemnieniem się niedostatecznem. Jest to jednak ofiara szczerego serca.

Drogi i wielki przyjacielu. Jesteśmy nieskończenie wdzięczni i jeżeli ta mała grupa jest kwiatem czystego serca, oddanym w materji, która wyszła z ognia w blasku swej świeżości, to pozwól—niechże ją widzimy w oczach pańskich, jako osłodę krzyża. Niechże i ja potrafię ocenić duszę i zapał natchnionego historyka, jakim pan jest [3]). Oparłem się przynaglaniom, które mi chciano narzucić. Nie przyśpieszam, nie odwalam na poczekaniu pomnika. Dwie trzecie wystawię w końcu kwietnia w najbliższym salonie. Całość będzie gotowa i będzie mogła być odsłonięta w r. 1928. Nie wcześniej.

Za poważna to rzecz i zbyt brzemienna w nieprzewidziane następstwa, abym mógł wierzyć w atak na Polskę. Będzie i musi być wielka Polska! Bez tego wszystko byłoby niezrozumiałe!

Nie to, żebym się nie bał katastrof. Ale w tym wypadku Europa chorowałaby ciężko! Tak! Niemcy zaś umrą!

Od moich i odemnie Pańskiemu Domowi i Panu serdeczne pozdrowienia.

Antoine Bourdelle.

[2]) Mowa o rzeźbie Madonny Alzackiej. Bourdelle ofiarował ją prof. Dąbrowskiemu na grób jego ukochanej córeczki, Lenki, której świętobliwa śmierć do głębi artystę wzruszyła.

[3]) Z powodu przeczytania książki prof. Dąbrowskiego *„Les Empires Centraux et la lutte pour le recrutement polonais sous l'occupation"* (1914—1918) (Chiron édit.).

OFENSYWA

„BEZ SKRUPUŁU".

DOŚĆ późno stosunkowo, bo dopiero w maju roku Pańskiego 1929, dowiedział się p. Tadeusz Dzierżykraj Morawski, deputowany na Sejm sanacyjny i posiedziciel ziemski o tem, że w piśmiennictwie politycznem polskiem istnieje pewien sobiepan, który *anno Domini* 1730 wydał, zdaje się nie zbyt odważnie, bo bezimiennie, tęgą co się zowie ulotkę polityczną p. t. „Skrupuł bez skrupułu". I jakby nową Amerykę odkrył, jakby go kto na sto koni wsadził, pospieszył o tem odkryciu jak najpospieszniej powiadomić wielkoksiążęcy obóz z kazalnicy „Dnia Polskiego". *Dixit et salvavit animam suam*, czyli: powiedział co wiedział i jest przekonan, że dobrze przysłużył się ojczyźnie.

Dziełko Jabłonowskiego jest kapitalne. Wielki magnat, wojewoda ruski, syn hetmana Jabłonowskiego a króla Leszczyńskiego wuj rodzony, na stare lata postanowił sobie raz wywnętrzyć się przed rodakami *imo ex pectore* i użyć swojej wątrobie. Kresowego magnata, pana olbrzymiej fortuny, zaczęła drażnić cała ta wygolona demokracja szlachecka, mocno się małmazją podgazująca, sejmikująca, rozgadana, rozwrzeszczana, krytykująca królów, kanclerzów, hetmanów, mocno niesforna, nieskoordynowana, nieco tępa, uparta, rogata no i magnatom patrząca na palce jak rozdrapują starostwa i poszerzają swoje *latifundia*. A że pan wojewoda po świecie bywał, monarchjom się napatrzył, kultury im pozazdrości a *vir* był *peritus* i *eruditus* więc palnął sobie takie *paternoster* że palce lizać. Nie ustępuje ten „Skrupuł bez skrupułu" żadnemu tej treści i intencji dziełu włoskiemu, angielskiemu, francuskiemu w swej dynamice antyparlamentarnej, antysejmowej, antypartyjnej.

Niema co zatajać, że i dzisiaj jest w tej libelli Jabłonowskiego dużo specyfików aktualnych. Charakter rasy jest czemś trwałem i niezmiennem, warunkowanem dziedzictwem krwi i geopolitycznemi warunkami. Tak tedy i na dzisiejszy potoczny użytek można z pamfletu i bez skrupułu wyłuskać wiele ziarenek zdrowych i krzepiących. Ale jest tam też wiele czysto magnackiej, egoistycznej, malkontenckiej gadaniny, a nie podano żadnych środków leczniczych na słabującą na nierząd psychikę szlachty rozparlamentyzowanej i dopiero siostrzeniec król Leszczyński, już siedząc w Lotaryngji, skoncypował *remedium* („Głos wolny wolność ubezpieczający").

O dziełku magnata Jabłonowskiego p. Dzierżykray Morawski dowiedział się zdaje się stosunkowo późno. Ani w r. 1919, ani w r. 1920, ani w 1925, dopiero w 1929. Dopiero po Mussolinim, Primo de Rivierze, Waldemarasie i t. p. Dopiero w kilka lat po zwycięstwie konserwatystów w Anglji, Poincarégo we Francji i zamachu Króla Aleksandra w Białogrodzie. Wtedy kiedy myśmy wszyscy w r. 1918 walczyli twarzą w twarz ze „*Spectre Rouge*" i mieli zuchwałą odwagę tłuc dziobami w apoplektycznie czerwony pysk Demosu i Pandemonji, wtedy pana Tadeusza Dzierżykraya Morawskiego na arenie nie było. Trzeba było z tem wyruszyć na plac bojów *anno Domini* 1918, kiedy graf Kessler zjechał do Warszawy lub kiedy czerwonym kabotynom i arriwistom wilczo głodnym rozdawano teki i synekury...

Z triumfującą minką wyciąga sobie pan poseł Morawski jako ten kogut z grzędy ziarenka z książeczki Wojewodzińskiej:

> „Kto poyzrzy na Seymy i Seymiki nasze Polskie, nic piękniejszego na pozór, nic pożytecznieyszego, ani droższego znaleźć nie rozumi, po całym Świecie nad nie...
>
> Z drugiej zaś wejrzawszy na *abusus*, *alias* tey wolności z tego zarzywania przez Braci naszych.. yeden cudzoziemiec o tychże mawiał kiedy ich *defecta* złośliwe pojął intrygi. Wasze Polacy, Seymy i Seymiki są dla nas Cudzoziemców, jak szkatuła szczerozłota, y kleynotami drogo sadzona, którey się zazdrościć chce, że u nas takiey nie dostanie, a otworzywszy ją kluczem rozumu y przezorności, to nic w tey szkatule nie znaydzie, tylko gady, węże, trucizny, któremi się sami trujecie..."

Ale jeżeli pan wojewoda Jabłonowski twierdził też sobie bez skrupułu, że

> „w żadnym narodzie nie jest tak powszechna *curiositas* y chciwość *quaerere maculas in sole*, jako w Polakach..."

to się pan wojewoda grubo mylił i sam przesadził i brać szlachtę za prześpiesznie oszkaradził i oszkalował. Mało widocznie słyszał o Aretinie i Bibbienie mało o magnatach i szlachcie francuskiej, o bucie i pysze hidalgów kastylijskich, o angielskich lordach...

Wyciąganie też teraz broszury Jabłonowskiego pod światło codzienności jest pomysłem bardzo zaściankowo-hreczkosiejskim. Analogji z tem, co my dziś przeżywamy niema żadnej, literalnie ani uncji. Pan poseł Morawski kombinuje bardzo symplistycznie, tak, jak sobie mogą tam śpekulować u niego ludzie w czeladnej izbie. Niechno nowa perła Bebeków przypomni, jak to o Polsce i Polakach i do Polaków mawiali królowie Sobieski, Leszczyński a porówna to z tem, co o Polsce i Polakach pisze teraz prasa niemiecka, sowiecka, angielska i amerykańska, cytując tylko *verba magistri* i powołując się na arcy świadka koronnego.

Pewna część naszej szlagonerji przeszła już wszelkie granice w zaparciu się godności osobistej. Można o polskich ministrach i generałach, wodzach i organizatorach wygadywać jakby powiedział Jabłonowski „ostatnie ostatnie obmowy y cenzury" „dla zabawy i niby uciechy", można dawać straszliwe widowiska „złego gadania, cenzurowania nie prawnego y weksowania niesprawiedliwego"... byle tylko... byle tylko „wsi spokojna, wsi weesoła"... podatek majątkowy na kołku... parcelacja powolna... chłopstwo w ryzach.

Mag der König absolut
Wenn er unseren Willen flut.

Poseł Morawski spóźnił się ze swojem kolumbowem „odkryciem" o całe lat dziesięć.

W „Skrupule bez skrupułu" mogą być nadal myśli mądre i zdrowe i słuszne i jutrzejsze...

Wyciąganie ze „Skrupułu" jakichś analogji aktualnych oznacza tylko brak skrupułów w myśleniu, dworski serwilizm i nadmiar służalczości zbytecznej.

Tego od was nawet nie żądają, więc poco nałazić, nadskakiwać i łasić się?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dziwna rzecz, że prasa codzienna nie notuje i nie karci takich faktów, świadczących o dezorganizacji poczty. „Myśl Narodową", nadaną na pocztę w piątek koło południa, doręczono w Warszawie we wtorek koło południa, a więc na czwarty dzień. W piątek i sobotę rano nie zdążono posegregować, potem „angielska" sobota, niedziela, poniedziałek—święta. Czy nie lepiej byłoby zatrudnić więcej roznosicieli, niż wydawać pieniądze na pałace ministerjalne? Radosna szkoła świętowania pp. Moraczewskiego i Miedzińskiego daje się we znaki. List *express*, nadany w Poznaniu, zapowiadający przyjazd gości, dochodzi do adresata na c z w a r t y dzień, co sprawia wielkie powikłania. Oto tempo pracy w Warszawie. Ładnie wyglądałaby wystawa powszechna, gdyby się dostała w takie ręce!

*

W nr. 136 „Kurjera Warszawskiego" w artykule wstępnym p. B. K. słusznie bardzo pisze o wierze w naród trwałej — i odświętnej. W zamknięciu przeciwstawia tych, co, przejęci romantyzmem politycznym, sarkają na naród i nie są zdolni uszanować w nim jego istotnej wartości — innym, którzy tę wartość przyjmują z miłością i szacunkiem. Szkoda tylko, że autor nazywa tych pierwszych... metafizykami(?), drugich zaś — realistami. Jeśli z tem drugim określeniem zgodzić się można i trzeba, to skądże to przeciwstawienie realistom — metafizyków? Przecież metafizyk może być równie dobrze realistą jak idealistą. Rozmaite kierunki w teorji poznania mogą się kojarzyć z kierunkami metafizycznemi i tylko dawno już przebrzmiały pozytywizm mógł uważać metafizykę za *somnia vigilantium*. Nie obniżajmy metafizyki przez utożsamianie jej z... „sanacją".

ZATWIERDZENIE KONFISKATY

Do Redakcji czasopisma „Myśl Narodowa" w Warszawie.

Sąd Okręgowy w Warszawie Wydział VIII Karny Sekcja 4 Z. K. dnia 17 maja 1929 r. № VIII 4 Z. K., 529,29.

W myśl art. 77, 30, 33 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10.V.27 r. (Dz. Ust. 45 z dnia 24.V.27 r.) Wydział VIII Karny Sąd Okręgowego w Warszawie przesyła do ogłoszenia treść decyzji Sądu, załączonej w odpisie (podpisy nieczytelne).

Wyciąg z dziennika posiedzenia gospodarczego Wydziału VIII karnego Sądu Okręgowego w Warszawie, odbytego w dniu 15 maja 1929 r. Odpis.

Z mocy art. 76 i 77 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. o prawie prasowem zatwierdzić dokonane w dniu 10 maja 1929 r. przez Komisarjat Rządu na m. Warszawę zajęcie czasopisma „Myśl Narodowa" z dnia 10 maja 1929 r. № 19, a to w związku z zamieszczeniem w tym numerze artykułu „Liberum Veto", „Wspomnienie", „Pochwała Cat'a", w którym autorzy dopuścili się: 1) zniewagi Ministra Sprawiedliwości Cara delegowanego przez Rząd Rep. na uroczystości odsłonięcia pomnika A. Mickiewicza w Paryżu (art. „Liberum veto"), 2) zniewagi władz państwowych, porównywując je z rządami zaborczymi, z ochroną (art. „Wspomnienie") i 3) zniewagi władz państwowych przez cały szereg aluzji pod adresem rządu, któremu proponuje się uwłaszczanie czci i godności Polskiej, szarganie i bezczeszczanie jej przed zagranicą, wprowadzenie i zaszczepienie w Polsce chuligaństwa Charkowskiego i zdziczenia obyczajowego, morderstwa i skrytobójstwa jako bezkarny obyczaj, zachowanie czci i honoru ludzkiego, jako praktykę, t. j. cech przestępstwa, przewidzianego w art. 154, 532 p. 3 k. k. i art. 1 cz. 3 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. o prawie prasowem rozpowszechnienia nakładu zakazać i korespondencję zwrócić Prokuratorowi Sądu dla nadania sprawie właściwego biegu. Na oryginale właściwe podpisy. Z oryginałem zgodne za Sekretarza (podpis nieczytelny).

NOWE KSIĄŻKI

Księgarnia F. Hoesicka w Warszawie wydała:

Lorentowicz Jan. Dwadzieścia lat teatru. S. IX i 559.

Żmichowska Narcyza. Czy to powieść? Z przedmową Boya-Żeleńskiego.

Conrad Józef. Między lądem a morzem. Wyd. II.

Helsztyński Stan. Liryka angielska XX wieku. (Antologja).

Maliszewski Al. Czarna Beatrycze. (Poezje).

Flukowski Stefan. Słońce w kieracie. (Poezje).

Dobrowolski St. R. Pożegnanie Termopil. (Poezje).

Ciesielczuk Stan. Pies kosmosu. (Poezje).

Rydzewska Nina. Miasto. (Poezje).

Inst. Wyd. „Renaissance" wydał:

Robert Henryk. Zdrada na tronie. Marja Stuart. Przeł. Witold Bełza.

Ostrowski Jerzy. Ziemia Świętego Krzyża. (Brazylja). Ze 100 ilustr. Warsz. 1929. Gebethner i Wolff.

Pepłowska Elina. Sytuacja gospodarcza Sowietów. Warsz. 1929, str. 24.

Świątkowski Wacław. Podlasie. V wycieczka po kraju. Warsz. 1929. Nakładem autora. Z ilustr. i mapą. S. 102.

Konarski Kazimierz. Legendy. Z ilustr. Wandy Świeżyńskiej. Warsz. 1929. Księg. Polska Tow. Pol. Macierzy Szkol.

Słowacki Juljusz. Dzieła wszystkie. Pod redakcją Juljusza Kleinera. Tom. IX. Lwów 1929. Zakład Narodowy im. Ossolińskich.

Waligóra Michał. Wyzwolenie wyzwolenia. Kraków, 1929. A. Krzyżanowski.

Kardaszewski Kaz. Gen. Kilka wspomnień z przeszłości. Odbitka z „Nowin Lekarskich". Poznań 1929. S. 50.

Cezak Jakób St. Wykształcenie ekonomiczne a rozwój mocarstwowy Polski. Warsz. 1929. Dom książki polskiej. Cena zł. 1.80. S. 50.

Mann Tomasz. Królewska Wysokość. Powieść. Tł. W. Hulewicz. Lwów 1929. Minerwa.

Czirikow Eug. Mój romans. Tł. Z. Grodzicka.

Foulet Georges. Kobieta pod zwrotnikami. Tł. B. Sieroszewska.

Wallace Edgar. Małpa z tykwą.

Ostenso Marta. Swit w mroku. Tł. M. Mark.

Rudkowski Wład. Lu tańczy. Powieść.

Kliszewicz Adolf. Współczesny kryzys państwowości. Kraków 1929. Nakładem „Przeglądu Powszechnego". Str. 420.

Szpotański Stanisław. Odloty. Powieść historyczna. Poznań 1929. Księg. św. Wojciecha.

Zegadłowicz Emil. Cień nad falami. Żywot Michała Srebrempisanego. Część trzecia. Poznań 1929. Księg. św. Wojciecha.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM